

ROCZNIK II. **1869.** ZESZYT XII.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(CIĄG DALSZY.)

Z kierunku pochodu każdy się domyślił, że celem jego jest Husiatyn; lecz pozostawienie w Tarnopolu wozów i pociągów, a nawet kilku armat, nasuwało na myśl wyprawę, mającą się odbyć szybko. Przypuszczenie wyprawy ciężyło kamieniem na sercach i odbierało żołnierzom ochotę i dobry humor. Więc nie powitali jutrzenki pieśnią wesołą. Napoili konie w Knieznie i pociągnęli dalej, a każdy badawczym okiem spoglądał na wodza, który na dzielnym arabskim ogierze to jechał przodem, to się zatrzymywał z boku i przepuszczał przed sobą całą komendę, składającą się z dwóch tysięcy koni i ludzi. Wejrzenie jego było surowe i harde. Nad zfałdowanem zmarszczkami czołem wisiała chmura gniewu.

W Grzymałowie zatrzymali się na spoczynek.

— Jeżeli to na konfederatów — mówili pomiędzy sobą komendanci i szeregowcy — to ztąd wyjdzie podjazd.

Lecz spoczynek trwał przeszło trzy godziny. Podjazd nie został wysłany.

— A więc do konfederatów! — było ogólne mniemanie, gdy ruszyli dalej.

I weselej zrobiło się pomiędzy żołnierstwem. Sypnęły się obozowe żarty, a dalej ozwała się i pieśń.

Ale wesołość nie długo trwała. Zamarła przed Toustem. Przednia straż dostała rozkaz zatrzymać każdego zbrojnego i do regimentarza prowadzić. Zatrzymała więc dwóch jeźdźców.

— Coście za jedni? — było zapytanie wodza, gdy przed nim stawieni zostali.

— Jezus, Marya! — odpowiedzieli konfederackim hasłem.

— Rozstrzelać — rzekł wódz krótko.

Żołnierze jakieś mu uwagi, tyczące się nie wyroku, lecz formalnej egzekucyi czynić chcieli, lecz on im usta zamknął groźnem:

— Natychmiast!

Chorągwie szły jedna za drugą, i przypatrywały się widowisku, od którego żołnierzom serca się ściskały. Nieopodal od drogi uklękło dwóch konfederatów. Twarze ich były blade, lecz nie mrózyli oczów i nie odwracali głów od strzelb, które się ku ich czołom skierowały. Zagrzmiały strzały, i wraz z niemi padł razem z dwóch piersi okrzyk:

— Jezus, Marya!

A okrzyk ten zimnem drzeniem na wskróś przejął każdego żołnierza.

Drgające ciała byłyby pozostały w polu, gdyby ci, co do egzekucyi byli użyci, z własnej ochoty nie wykopali na prędce grobu i nie przysypali ich ziemią.

Podobne widowisko do wieczora jeszcze się dwa razy

powtórzyło. Ujęci konfederaci na próżno się tłumaczyli, że wyjechali właśnie po to, ażeby komputowych najkrótszą drogą do obozu pod Husiatynem sprowadzić, że u nich w obozie wszyscy są tego przekonania, iż regimentarz podolski trzyma z konfederacyą. To jeszcze bardziej rozjuszało wodza, i nie dziw. Mścił się na konfederatach za to, że względem konfederacyi złamał słowo. Miał więc słuszny do zemsty powód. Na co go narazili na złamanie słowa?

Ciemno już było, kiedy korpus polski po powtórnym spoczynku ruszył z pod Horodnicy, a głucha panowała już noc, kiedy przednia straż postawiła przed cześnikiem Tanasa, którego wódz poznał po głosie, bo twarzy z powodu ciemności widzieć nie mógł.

— Cóż tedy?

— Wszystko dobrze... Przybywam z konfederackiego obozu... Mówią, że jaśnie wielmożny pan ciągnie.

— A ciągnę — podchwycił tonem przekąsu. — Jakże tam z czujnością?

— Prawie żadnej... Posyłali podjazd w stronę Kuźmina... i rozstawili rzadkie czaty...

Dał jeszcze kilka informacyi i idąc piechotą obok cześnika, który na czoło wyjechał, poprowadził oddział zrazu drogą do Husiatyna; lecz w tem miejscu, gdzie się z tą drogą krzyżuje drożyna, odłamująca pod kątem rozwartym ku Olchowczykowi, wziął się w pole, kierując się w taki sposób, ażeby linia pochodu przecięła w pół linię prostą, przeprowadzoną z Olchowczyka do Husiatyna. Na tej ostatniej wypadał bród na Zbruczu. Wojsko w cichości przeprawiło się, i doszedłszy do drogi, prowadzącej z Kuźminczyka ku Husiatynowi, zatrzymało się.

Cześnik objechał chorągwie i począł je szykować frontem ku południowi, gdzie w dali błyszczały rzadko zarzewia dogasających ognisk. Dragonii kazał się spieszyć i naprzód ją bliżej ku rzece wysunął; pancernych ustawił na drodze, a kozactwo na lewo od drogi. Plan jego był następujący: strzelbą opanować obóz, pancernemi chorągwiami natrzeć na kupy, co wystraszone ogniem pod obozem się zbiorą, rozbić je i rzucić za rozbitkami w pogoń kozactwo.

— Ani łapa nie wyjdzie — myślał sobie w duchu.

A lękając się, aby część niedobitków nie wymknęła mu się przez most, zostawił dwie chorągwie na prawym brzegu Zbrucza z rozkazem, aby na głos pierwszych strzałów pędem wpadły do miasteczka, most zajęły i nikogo nie przepuściły.

Od chwili wymarszu z Tarnopola po raz pierwszy rozwiązał mu się język. Objeżdżając uszykowane już wojsko, zatrzymywał się przed chorągwiami i przemawiał. Nie zalecał odwagi, bo odwaga tu była niepotrzebną, ale bezmiłosierność, do rozbudzenia której nazywał konfederatów łotrzykami, łajdakami, plugastwem gorszem niż zbóje, i obiecywał królewską łaskę i ojczyzny wdzięczność.

Żołnierstwo milczało ponure, tylko konie pryskały i szable pobrzękiwały; stało i na rozkaz czekało.

W dali ozwały się piania kogutów, zapowiadające świtanie. Zimny dreszcz przeszedł po pancernych, dragonach i kozakach.

Poczekali jeszcze chwilę, która się im krótką, jak mgnienie źrenicy wydała. Na wschodzie różowo zarumieniło się niebo, a nad szykami polskiemi zaszczebiotał skowrónek.

— Naprzód! — dał się słyszeć okrzyk na prawem skrzydle....

Dragonia ruszyła.

Cześnik wyjechał przed pancernych i karabeli z jaszczuru dobył. Jasna smuga świecącego się jak zwierciadło brzeszczotu błysnęła w powietrzu, a nieubłaganość świeciła wodzowi w oczach.

Upłynęła jeszcze chwila, i nagle, poprzedzono kilku pojedyńczemi wystrzałami, gruchnęły salwy ręcznej broni. Natychmiast po salwach słyszeć się dała wielka wrzawa, a z odmętu tej wrzawy wyrywały się w niebo głośne okrzyki:

— Do broni! do broni! Jezus, Marya!

Wrzawa i okrzyki przycichły wkrótce.

— Naprzód! — zawołał cześnik, i poprawiwszy czapki posunął koniem, który z miejsca poszedł w poskokach jakby do tańca.

Pancerni ruszyli.

Kłusem uszli parę staj i ujrzeli przed sobą kupy. Widać w nich z daleka było zamieszanie, posunięte do najwyższego stopnia. Słychać było okrzyki, których nikt zrozumieć nie mógł. Pancerni szli szeregami w porządku, w milczeniu, sztandary w powietrzu wiały, próżne pochwy wydawały głuchy brzęk, ziemia stękała pod kopytami końskiemi.

Cześnik wzniósł szablę w górę i puścił się w czwał. Chorągwie poszły za jego przykładem. Chwilka jeszcze... a te kupy mieszających się ludzi zmienią w kupy rozgnieconych kopytami trupów i konających.

Już cześnik jest pomiędzy niemi, wpadł na środek, tratuje i rąbie na prawo i lewo.

A z jaką rąbie zawziętością!... Rzekłbyś, iż największemu wrogowi Polski wsiadł na karki i mści się na nim strasznych krzywd, jakich ojczyzna doznała.

Pancerni już dopadają. Dla konfederatów nie masz ratunku. Tam dragoni z obozu ich wyrzucili i tył im zajęli, tu na nich dobiegają pancerni, a tam w polu na przełaj, okryte kurzawy tumanem, zachodzą pędem chorągwie kozackie; a oni? bezbronni...

Nie masz dla nich ratunku, chyba w Bogu. Oglądają się za panem Potockim, a pan Potocki nic już nie może, na nic już nie ma czasu, tylko na przedśmiertną protestacyę, złożoną nie w żadnych aktach grodzkich, ale posłaną wprost

przed trybunał tego, w czyje imię przypasał szablę do boku. Protestacyę tę zawarł w dwóch wyrazach:

— Jezus, Marya!

Krzyknął i tysiąc piersi okrzyk podchwyciło.

I... w pancernych szeregach konie przedniemi kopytami w ziemię się worały, a tylnemi nogami jak psy usiadły.

— Stój! to swoi! — odezwała się komenda, której żaden rotmistrz, żaden szeregowiec nie wymówił.

— My za wiarę i wolność! — krzyknięto z kupy konfederackiej.

— I my za wiarę i wolność! — odpowiedziano z szeregów pancernych.

A te dwa okrzyki zlały się w jedno wołanie, które niby dziękczynny hymn zabrzmiało w powietrzu. Ci co mieli śmierć zadać, i ci co mieli śmierć ponieść, zmieszali się w jeden tłum i...

Płakali z radości...

Konfederaci żołnierzy a żołnierze konfederatów otaczali ramionami braterskich uścisków.

Wschodzące słońce oświeciło obóz konfederacki wzmocniony pancernemi, dragońskiemi i kozackiemi chorągwiami, które cześnik przyprowadził na zniesienie konfederatów.

Wschodzące słońce oświeciło uniesienia radości, której się rycerstwo polskie niby gromada dziatwy oddawała.

XII.

Ofiara moskiewska.

W obozie pod Husiatynem radość była wielka, a byłaby jeszcze większa, gdyby nie kilku zabitych i kilkunastu rannych, których kule dragońskie dosięgły. Z powodu tych zabitych i rannych rozjątrzenie przeciwko cześnikowi zapanowało ogromne. Rozjątrzenie to powiększyło się jeszcze, gdy nasi konfederaci opowiedzieli dawniejszym o doraźnych egzekucyach, jakie się odbyły za Toustem i w dwóch innych miejscach. Dopominano się, żeby się z nim obejść, jak on się obszedł z ludźmi niewinnymi. Wołano, aby go na szablach roznieść. Lecz dowódzca postawił wartę przy namiocie, który służył ekswodzowi za więzienie, i nie pozwolił zbliżać się do niego. A nawet cyrulikowi, co przywołanym został z miasteczka do opatrzenia rannych, kazał opatrzyć głowę czesnika, która szwankowała trochę z powodu, że go któryś konfederat drągiem przez łeb zmierzył i z konia zwalił.

Nie będę ze szczegółami opisywał, jak cześnik wyglądał. Nie jak tygrys w żelazną klatkę zamknięty, ani też jak trwożliwy zając, co się żywcem do rąk myśliwców dostał, ale jak to powiadają — jak zmyty. Wzdychał, głową kręcił i wąsy targał. Tyle to na siebie nabiesował! Słowo złamał? wyprawę przeciwko konfederatom zrobił? to wszystko było niczem w porównaniu z temi morderstwami, które, gdy się nad niemi z zimną rozwagą zastanowił, jemu samemu wydały się bezpotrzebnem a obrzydliwem głupstwem. Niby to miały mu energii dowodzić. O! jakże klął w duszy królowi i senatorom, co mu energią zakadzili, i nie miał za złe tym, co nie mogąc go na szablach roznieść, przez płótna namiotu przysyłali do jego uszów wyrzekania i odgrażania.

Och! ty półpanku!... stolnierczuku!... Odpowiesz ty za...

Wyliczali imiona i nazwiska pomordowanych i w napadzie zabitych i poranionych. Pomiędzy tymi ostatnimi słychać było imię i nazwisko dzierżawcy Olchowca, któremu dragońska kula wnętrzności przeszyła, kiedy na huk pierwszych wystrzałów zerwał się i przed namiot wyskoczył.

— Odpowiesz ty — wołali — za Dymitra Kociubę!... Na twojem sumieniu pozostaną sieroty, jeżeli go Bóg do chwały swojej zabierze...

Pan Dymitr był ciężko ranny. Do wyrzekań z powodu jego stanu przyczyniało się wielce i to, że on głównie był żywicielem obozu. Towarzysze otoczyli go troskliwością. Jego rana była najpierwej opatrzoną i obandażowaną. Przyrządzono z wojłoków nosze i według jego żądania odniesiono go do Olchowca.

Smutne jejmość czekały odwiedziny.

Cześnik ze zwieszoną głową słuchał wyrzekań i odgrażań się i czekał, jaki mu los przeznaczą. Niedługo czekał. Gdy w obozie przywróconym został porządek, Potocki zwołał do namiotu starszyznę na naradę, której przedmiotem były dwie rzeczy: raport do marszałka i jedyny jeniec. Raport był rzeczą, nieprzedstawiającą najmniejszych trudności; chodziło tylko o napisanie, a od tego był pisarz. Lecz zachodziło pytanie, co z jeńcem robić?

— Oczywiście sądzić... — jednogłośnie wszyscy wyrzekli.

— Ale trzeba mu pierwej papiery zabrać — odezwał się jeden, co się trochę z prawem znał — bo komputowi rozpowiadają, że przed samą wyprawą przyjeżdżał z Warszawy goniec i przychodził jakiś tajemniczy posłaniec, z którym Dzieduszycki długo sam na sam pozostawał. Więc można przypuszczać, iż posiada przy sobie papiery, które nie o jednem nas pojaśnią.

Słuszna ta uwaga została przyjętą, i ten sam, co uwagę uczynił, został wydelegowany do nie miłej operacyi zrewidowania jeńca.

Cześnik nie śmiał mu w oczy patrzeć; nie chciał z nim mówić; na pierwsze wezwanie wydobył z zanadrza gruby pugilares i wręczył go delegatowi, który nie korzystał z przewagi, jaką mu tryumf dawał, i do przykrości nie dodał ani zniewagi ani szykany.

W pugilaresie znaleziono listy różne, a pomiędzy niemi i ostatnie od króla i senatorów, odczytano je i odłożono na stronę dla wyprawienia wraz ze sprawozdaniem do marszałka; znaleziono przytem i karteczkę, która wiele do myślenia dała:

„Pewny i wierny“ podpisano: „Jenerał Kreczetników“

— Coby to mogło być? — zastanawiali się wszyscy, ale się domyśleć nie byli w stanie.

— Pewny i wierny? kto? czy Kreczetników? czyli też ktoś przez Kreczetnikowa polecony?

A podczas kiedy nad tem głowy łamali, co jednakże czas jakiś zabrało, do namiotu, w którym się narada odbywała, wszedł Cholewa z jakiemś pismem w ręku.

— Co waszmość przynosisz? — zapytał pułkownik.

— Jakiś niby list z koperty wyjęty...

I zaczął opowiadać: Bo to było tak... Zwaliłem cześnika drągiem i on fajt z konia... Było to, jak całemu światu wiadomo, za obozem... Zrobił się tumult i wielki krzyk... Każdy chciał Dzieduszyckiego dostać, ażeby go jako swego jeńca do waszmości, panie pułkowniku, odprowadzić... Ten go szarpie do siebie, ów do siebie; jeden drugiemu chce wydrzeć... Ale przy mnie było prawo. Więc ja mospanie przy mojem prawie stanąłem. Drągiem, bom karabelę, jak dragonja strzeliła, w namiocie zostawił, zrobiłem sobie rum i zostałem sam z Dzieduszyckim, który leżał jak baran, w poszarpanym kontuszu... Szkoda kontusza! I żupan na nim podarli, a pas słucki pod brzuch mu się zsunął... To też tylko pas mi się dostał i mam jeszcze pretensyę do żółtych butów, których zdjąć nie miałem czasu, bo mi było spieszno za kark go do waszmości, panie pułkowniku, przyprowadzić...

Długie to opowiadanie znudziło słuchających. Więc się ktoś odezwał:

— Mów waszmość o liście...

— Zaraz ja i do listu przyjdę... Jak przyprowadziłem cześnika i oddałem go do rąk własnych pana pułkownika, wyszedłem pomiędzy szlachtę, a oni dalejże ze mnie dworować. Otóżeś się obłowił Cholewo! drwinkują ze mnie. Oddasz pas na ornat, bobyś w nim wyglądał, jak za pozwoleniem świnia w chomącie, i zostanie ci figa. Ja się, mospanie, rozgniewał, ale potem pomyślałem sobie, prawda... I rozmyślając przypominałem, jak to cześnika rozciągali... ten za nogę, ten za rękę, ten za głowę... zupełnie jak psy lisa; i zapytałem sam siebie: czy nie wytrzęsło się tam jeszcze co z niego? Poszedłem więc na to samo miejsce, gdzie się to działo i nie znalazłem nic, tylko ten papier, w którym nie wiem co stoi napisano, bo bez okularów ani weź czytać, a okulary zapomniałem w domu...

To rzekłszy wręczył papier Potockiemu; jeszcze coś powiedział i wyszedł.

Potockiego wielce zastanowiło pisanie. Podparł się łokciem, coś pod nosem pomrukiwał i głową kręcił.

— Ho, ho — odezwał się po chwili — tu się odkrywa na szeroki zakrój knowanie. To pisanie jest tej samej ręki co kartka.

Posunął list, obecni zaczęli porównywać i przyznali słuszność słowom pułkownika.

— Ta sama ręka, tylko bez podpisu ni nadpisu.

Jeden w głos odczytał:

— „Poczynać rezolutnie; wytępić co do nogi; zgłosić się do popa w Olchowcu, żeby rozdał pomiędzy chłopów święcone noże, które trzyma w piwnicy, a jeżeliby się wzbraniał, lub jaką nieufność okazywał, to mu przypomnieć odezwę, co trzyma w książce na półce, i list, co chowa pod poduszką.“

Była to niby notatka, rodzaj memento, zrobione dla kogoś — dla kogo? nikt ani wątpił, że dla Dzieduszyckiego. Wzmianka o święconych nożach szczególnie była frapującą, a to dla tej przyczyny, że w owych czasach chodziły głuche wieści o święceniu nożów przez szyzmatyckich popów. Każdy myślał i głową kręcił.

— Nie ma co... — odezwał się Potocki — trzeba posłać po popa i dom mu przetrząść... a z sądem się wstrzymać.

I dał rozkaz temu, co do Dzieduszyckiego po pugilares chodził, aby wziął dwunastu ludzi, zrobił ścisłą rewizyę na probostwie i popa przyaresztował, a jeżeliby się znalazł jaki *corpus delicti*, przyniósł go wraz z popem do obozu.

Rozkaz natychmiast został wykonany.

Jakież było zdziwienie ojca Nikona, gdy na jego podwórko wpadło pędem kilkunastu jeźdźców, z których połowa zsiadłszy z koni, otoczyła jego domek, a druga połowa z przewódzcą na czele weszła na ganek, i gdy ten ostatni oświadczył mu, że jest aresztowany.

— Mój Boże!... a toż za co?...

Jerynka blada jak kreda wyszła do sieni.

— Wkrótce nie będziesz się śmiał pytać, a toż za co? — odrzekł przewódzca staruszkowi.

I od razu poszedł do łóżka, a odrzuciwszy poduszki i prześcieradło, znalazł list.

— Oto za to — rzekł — pokazując księdzu papier.

W sieniach dało się słyszeć głuche jęknięcie. Dziewczyna oczy dłoniami zasłonila i do czeladnej izby uciekła.

Następnie przystąpił do książki z półkami. Przerzucał, wytrząsał, wytrząsł wiele papierków, notatek, modlitw a pomiędzy niemi pismo z podpisem: „Gerwazy, biskup perejasławski.“

— Oto za to — rzekł powtórnie.

Szukał po szufladach i kufrach, po za belkami i obrazami, i poznajdywał wiele papierów, bądź ręką ojca Nikona, bądź obcemi rękami zapisanych. Wszystko to złożył razem i zformował się z tego gruby plik.

W końcu udał się do piwnicy z trzema żołnierzami. Po chwili każdy z nich wyszedł z worem na plecach.

— Oto za to — rzekł po raz trzeci, ukazując palcem na wory — wszak wiesz, co w nich jest?

— Niech mnie Bóg ciężko skarze — odpowiedział staruszek, przyciskając dłoń do piersi — jeżeli wiem.

— Niewiniątko! — odparł przewódzca — jak on się

umie układać. On nic nie wiedział, że we własnej piwnicy ma skład nożów święconych.

— Szyzmatyk! — wołali żołnierze.

Staruszek nie był przestraszony ale zdumiony. Wszystko to było dla niego istnem objawieniem. Te pisma? te noże?... co to wszystko mogło znaczyć? Podrzucenie tego wszystkiego było oczywistem. Lecz on tego przypuścić nie mógł. Bo któżby podrzucił? chyba osobisty jego wróg, a on nie wiedział, aby miał wroga.

Lecz była jeszcze jedna rzecz oczywistą. Staruszek poznał, że jego zguba jest niechybną. Więc kiedy mu ręce

Kilka dużych łez spłynęło jej na czoło. Nie mógł mówić. Stróż i służka przygarnęli się do niego. On im po cichu błogosławił, lekko ich od siebie odtrącił, wydarł się z objęć Jerynki i szybko wyszedł na ganeczek, przed którym stał zaprzężony jego własny wózek a na nim leżały worki z nożami.

— Macie mnie — rzekł do żołnierzy.

Żołnierze go związali.

Przed bramą stała kupa włościan, oniemiałych ze zdumienia.

Staruszek o własnej sile nie mógł wsiąść do wózka.



— O to za to — rzekł po raz trzeci, wskazując palcem na wory... (str. 360.)

mieli powrozami wiązać, zwrócił się do przewódzcy z prośbą.

— Pozwól mi, panie, pożegnać się z mojem obejściem... Wszak i ty żegnałeś się z twojem, kiedyś progi twego domu opuszczał... Ja pod tym dachem przeżyłem siedmdziesiąt sześć lat...

Tyle było rzewności w jego głosie, że konfederat nie mógł prośbie odmówić. Staruszek poszedł z izdebki do izdebki; na każdym progu przykląkł, każdy kącik przeżegnał. W czeladnej izbie został za nogi objęty ramionami wnuczki, która się zachodziła od płaczu. Ojciec Nikon pochylił się nad nią i ujął ją za głowę drżącemi dłoniami.

Podsadzili go, i gdy koniki ruszyły, oglądał się na wszystkie strony i posyłał oczami pożegnanie stajence, szopom, chlewkom, szpichlerzowi, ogrodowi, studni, gołębnikowi i gołębiom, które jakby rozumiały o co chodzi, zebrały się na daszku i gruchając spoglądały za odjeżdżającym. Za bramą rzekł do włościan:

— Bądźcie zdrowi.... moje dziatki.

Widok cerkwi łzami mu oczy napełnił i następujące mu z ust wydobył wyrazy:

— Panie, nie moja ale Twoja niech się stanie wola... Panie nie karz za mnie nikogo...

Koniki pobiegły truchtem. Wózek otoczony dwunastu

żołnierzami, z dobytemi pałaszami, potoczył się po drodze, a za wózkiem długo z ganeczku probostwa spoglądała dziewczyna, trzymając się obiema dłoniami za pierś, która pękała, i tłumiąc w sobie łkania, które powietrze rozdzierały i wtórowały łkaniom, co z ekonomii dochodziły.

Wózek się powoli toczył i dotoczył do obozu. Konfederaci wylęgli na spotkanie, na zajrzenie w oczy szyzmatyckiemu popowi, co miał skład noży święconych.

— Szyzmatyk! ha, szyzmatyk! — wykrzykiwali i złorzeczyli.

Potocki odebrawszy *corpus delicti* i wysłuchawszy sprawozdania, spojrzał na księdza, pokiwał smutnie głową i rzekł:

— W takim wieku, takich zbrodniczych czynów się dopuszczać!

I kazał odwieźć go do miasteczka, gdzie był już przygotowany dom osobny na więzienie i na odbywanie śledztwa i sądu. Było to domostwo zajezdne. W jednej izbie osadzony został cześnik, w drugiej ojciec Nikon; przy drzwiach i pod oknami stały warty; na podsieniu urządzoną została strażnica, a w jednej izbie stał stół po środku ze stołkami do koła i ławki pod ścianami dla sędziów, oskarzonych i świadków.

Sądy rozpoczęły się nazajutrz po rozpatrzeniu aktów. Z wieczora zaś, w dniu aresztowania ojca Nikona, pchnięty został goniec do Józefa Puławskiego z dokładnem zdaniem sprawy ze wszystkich wypadków.

(Dokończenie nastąpi.)

KRÓL DON-ŻUAN.

KOMEDYA W V AKTACH.

PRZEZ

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

Sala na zamku jak w akcie Iszym.

KRÓL. RANDZAU.

Król wszedłszy usiada na krześle. Randzau zostaje przy nim stojąc.

KRÓL. Biedna Henryka, musiała się bardzo przestraszyć?

RANDZAU. Zastałem ją za murem całą drzącą i prawie bez oddechu. Uspakajałem ją jak mogłem. Mówiła mi, że słyszała szczęk oręża, ale nie odważyła się powrócić do ogrodu, aby się nie sprzeciwić woli W. K. Mości.

KRÓL. Biedne dziecko!

RANDZAU. Chciała koniecznie widzieć W. K. Mość, i ledwie mogłem ją odwieść od tej myśli, bojąc się pomnożenia awantur, których i tak tej nocy mieliśmy aż nazbyt.

KRÓL. Lecz nie mówiłeś jej, że ja się biłem z tym oficerem?

RANDZAU. Nie. Nie chciałem w niej obudzać nowej obawy o los W. K. Mości.

KRÓL. Bardzoś dobrze uczynił. Teraz ja w zamian za twoje wiadomości, mogę ci także moich udzielić. Pani Kozel była u mnie dziś bardzo rano, ledwie oczy otwarłem.

RANDZAU. Spodziewałem się tego.

KRÓL. Byłem wystawiony na nowy atak łez i zaklęć z niemałym dodatkiem groźby. Pani Kozel mi oświadczyła, że pomimo wczorajszej nieudanej próby, jest zupełnie przekonaną o mojej niewierności i o bytności u mnie Henryki.

RANDZAU. Mówiłem W. K. Mości jeszcze wczoraj, że moja siostra zna ze wszystkiemi szczegółami każdy nasz krok, ale pomimo to nie dowierza swym wiadomościom, tak że można ją jak najdłużej utrzymywać w niepewności.

KRÓL. Trzymałem się tej zasady, udawałem dla niej czułość, ubolewałem nad jej cierpieniem, i zaprzeczałem wszystkiemu— ale już po raz ostatni!

RANDZAU. Dlaczego raz ostatni?

KRÓL. Już mi się sprzykrzyło udawać. Rozmyślałem nad tem jeszcze wczoraj przed zaśnięciem. A zasnąć nie mogłem długo. (Wstaje.) Wierzaj mi Randzau, nawet najszczęśliwsza miłość ma swoje kłopoty, a najdelikatniejsze stworzenia na ziemi, jakiemi są kobiéty, mają dość ostre kolce do kłócia naszego serca. Nie kochaj się nigdy!

RANDZAU. Najj. Panie, nigdy o tem nie myślałem.

KRÓL. Ostatecznym wypadkiem mego rozmyślania było to, że postanowiłem przed panią Kozel i przed całym światem, kogo to może obchodzić, wyjawić otwarcie mój stosunek z Henryką.

RANDZAU. I chcąc wprowadzić w czyn to silne postanowienie, zaprzeczałeś dziś W. K. Mość wszystkiemu przed panią Kozel...

KRÓL. Uprzedziłem cię Randzau, że to raz ostatni, nie podchwytuj mię! Udawać, jest to rzecz niegodna króla, ukrywać

się z miłością, jest to rzecz niegodna człowieka! Miłość nakształt słońca powinna się pokazywać na rozległym horyzoncie— niech wszyscy ludzie ją widzą i olśniewają od jej blasku! Nasza kochanka jest świętością, której wobec całego świata powinniśmy cześć oddawać. Biada jej, kiedy na jej imię rumienimy się ze wstydu! Ale ja ci mówię Randzau takie rzeczy, których ty nic a nic nie rozumiesz.

Randzau. Owszem Najj. Panie. Tylko ja przekładam sobie te poetyczne przenośnie na zrozumialszy język prozy. Jednem słowem, W. K. Mość uważasz za ujmę dla panny Duval, żeby darząc cię miłością, miała jak złoczyńca ukrywać się z tem przed panią Kozel.

Król. Tak jest, w istocie.

Randzau. Z tego widzę, że W. K. Mość na seryo kochasz pannę Duval.

Król. Tak, kocham Henrykę szczerze.

Randzau. To bardzo źle.

Król. Co mówisz?

Randzau. Mówię, że to bardzo niedobrze.

Król. Zabawny jesteś Randzau; dla ciebie czy dla pani Kozel?

Randzau. Dla ciebie Najj. Panie. W. K. Mość pragniesz pozbyć się jednej pani Kozel, aby zwalić sobie na kark drugą panią Kozel w osobie panny Duval, która niedługo może się stać takim samym ciężarem jak pierwsza. Radzę W. K. Mości nie brać na siebie nowych obowiązków.

Król. Ty nie masz serca Randzau! Ale, przypomniałeś mi człowieka, który ma go bardzo wiele. Lebeau! (Lebeau wchodzi.) Przywołaj mi porucznika Wilhelma z mojej gwardyi.

Lebeau. Dobrze Najj. Panie. (Wychodzi.)

Król. Przerwaliśmy rozmowę, której treść leży mi bardzo na sercu. Pragnę wyjść z tego dwójznacznego położenia. Pani Kozel nie chciałbym zrobić krzywdy, a czuję, że względem Henryki zaciągnąłem, jak je nazywasz, pewne obowiązki. Muszę nieco zmartwić i upokorzyć Gabryelę, ale tak postępując, czyż nie uczynię jak najsprawiedliwiej?

Randzau. Masz W. K. Mość zupełną słuszność. Tej kochance należy pochlebiać, którą więcej kochamy, tę kochać, w której znajdujemy więcej przyjemności. Dlaczegoż człowiek nie ma iść za swą skłonnością i dogadzać swym zachceniom? Wszakże w tym celu został obdarzony zdolnością czynienia, co mu się podoba.

Król. Rzecz zatem już ułożona. A wykonamy ją w następny sposób. Weźmiesz moję karetę i pojedziesz do Henryki, której oddasz list ode mnie. List ten napiszę ci w tej chwili, (usiada przy stole i pisze.)

Randzau. Uwolnisz mię zatem W. K. Mość zupełnie od mówienia?

Król. Masz słuszność, nie poszlę listu. (Wstaje.) Te lakoniczne wyrazy nie wieleby jej powiedziały. Oświadcz jej zatem, że jest mojem życzeniem, aby niezwłocznie przybyła z tobą na zamek. Bez wątpienia zadziwi ją to żądanie, gdy dotąd otaczaliśmy się cieniami tajemnicy. Do ciebie więc będzie należeć, przedstawić jej, że to jest najszczersze moje pragnienie i niecofnięty zamiar. Dodasz jej także nieco odwagi. Wreszcie upomnisz, aby się ubrała jak najstaranniej. Możesz po drodze wstąpić do magazynu strojów i do jubilera. Henryka powinna mieć zupełnie dworską toaletę.

Randzau. A następnie cóż W. K. Mość uczynisz?

Król. Następnie zaproszę do siebie panią Kozel i przedstawię jej pannę Henrykę Duval.

Randzau. Brawo, to genialny pomysł.

Król. Idź teraz, Randzau. (Randzau odchodzi.) Cokolwiek bądź, czeka mnie dzisiaj trudne przejście. (Wilhelm wchodzi.)

SCENA DRUGA.

Król. Wilhelm.

Wilhelm. W. K. Mość raczyłeś mię wezwać...

Król. A tak, chciałem cię widzieć, kapitanie.

Wilhelm. Najj. Panie, nie posiadam tego stopnia.

Król. Czyż chcesz koniecznie, abym się mylił? Od tej chwili musisz być i jesteś kapitanem. Winienem cię nagrodzić za to, że mi się wczoraj udało wytrącić twoją szpadę.

Wilhelm. W. K. Mość jesteś wspaniałomyślny... Dopuściłem się wielkiego przestępstwa...

Król. Nie popełniłeś żadnego. Stając w obronie honoru panny Duval, spełniłeś czyn, za który muszę ci być wdzięczny. Myliłeś się w istocie rzeczy, ale postępowałeś tak, jak nakazuje sumienie prawego człowieka. Ty kochałeś pannę Duval?

Wilhelm. Tak, Najj. Panie.

Król. I nie doznawałeś nigdy jej wzajemności?

Wilhelm. Niestety!

Król. Przyjmij moję rękę. Jestem twoim rywalem od niedawna, i nie możesz mnie uważać za przyczynę twego niepowodzenia. Kobiéty rządzą się niezbadanem prawem gustu, i najczęściej nie zależy to od nas, dlaczego nas kochają, albo nie. Nieraz żałują swego wyboru, lecz mimo to rozum nigdy ich nie przekona. Byłem szczęśliwszy od ciebie, oto cała tajemnica. Kocham Henrykę w inny wprawdzie sposób od ciebie, nie mniej jednak posiadłem jej miłość. Pragnę, abyś nie czuł dla mnie nieprzyjaźni.

Wilhelm. Nie zasłużyłem na tę łaskawość, którą jednak odejmujesz mi W. K. Mość ostatnią pociechę... nie mogę cię nie nawidzić Najj. Panie!... Henryka dla mnie na wieki stracona, ona do ciebie należy, wiem o tem, i chciałbym to uczucie zatrzeć jak najprędzej w mojej pamięci. W. K. Mość możesz mi w tem dopomódz.

Król. Jakim sposobem?

Wilhelm. Pozwól mi W. K. Mość udać się do obozu przeciwko Szwedom.

Król. Stanie się zadość twej woli.

Wilhelm. Dziś jeszcze...

Król. Dobrze. W tej chwili każę ci wygotować patent i pozwolenie do odjazdu.

Wilhelm. Najj. Panie, mam jeszcze jedną prośbę.

Król. A mianowicie?

Wilhelm. Nie przestań nigdy kochać Henryki! Twe zapomnienie złamałoby całe jej życie. Ona nie będzie znać drugiej miłości.

Król. Nie obawiaj się o to. Człowiek podobny do ciebie, gdyby jej nie uczynił panią swego domu, matką swej rodziny, zepchnąłby ją na dno przepaści; taki jak ja da jej skosztować wszystkich słodyczy uczucia, przeprowadzi ją przez raj ziemski, którego wspomnienia wystarczą do ostatniego tchu. (Pani Kozel wchodzi.)

SCENA TRZECIA.

Król. Wilhelm. P. Kozel.

Król. A, to pani! Jak mi się zdaje, przynosisz coś ważnego. Cóż to za list masz w ręku?

P. Kozel. Jest to sprawa, ile się domyślam, nie cierpiąca zwłoki. Przynoszę list od Prymasa, który w tej chwili przysłano na zamek.

Król. List od Prymasa? Masz pani słuszność, jest to rdzeń mojej teraźniejszej polityki. Ten list rozstrzyga moje losy. (Czyta.) Doskonale! nasza wygrana!... Prymas oświadcza się z swoją przychylnością! „Pani Feszen przybędzie do W. K. Mości, i wynurzy mu wszystkie moje dobre chęci, o których tutaj pióro zamilcza“. (n. s.) Aurelio, dotrzymałaś mi słowa!

P. Kozel. Cieszy mnie bardzo, że mogłam być posłem tak przyjemnej wiadomości.

Król. Dziękuję ci Gabryelo. Nie wątpiłem nigdy o twojem współczuciu. Ten jeden szczęśliwy wypadek więcej pomógł mej sprawie, niż cała mądrość mego ministeryum i wszystkie plany moich doradzców.

P. Kozel. Odtąd bez wątpienia zbyteczne będą tajne konferencye z siostrzeńcem Prymasa...

Król. A tak, to prawda. (n. s.) Niefortunnie przypomniała mi te konferencye! (Głośno.) Ale niedługo dam pani bliższe objaśnienie pod tym względem. Żegnam cię Gabryelo, ten młody człowiek czeka na mnie.

(Król i Wilhelm odchodzą drzwiami bocznemi.)

SCENA CZWARTA.

P. Kozel. później Lebeau.

P. Kozel. Ah królu, jesteś nielitościwie chłodny dla mnie! Do tego więc już przyszło! Wyraźne niebezpieczeństwo mi grozi, i zaczynam tracić grunt pod nogami. Co miało znaczyć to „dam ci bliższe objaśnienie pod tym względem?“ Czyżby sam chciał zrzucić maskę? To gorzej, niż gdybym ja mu ją zdarła! (Opiera się ręką o stolik, spostrzega list). Jakieś świeże pismo... Ha! „Kochana Henryko! Wysyłam po ciebie Randzaua z karetą. Zechciej przybyć niezwłocznie na zamek. Już czas, aby wiedziano, że cię kocha twój August“. Teraz rozumiem!... Randzau już wyjechał... Zginęłam! Henryka Duval zostaje uznana kochanką króla, a Gabryela Kozel popada w niełaskę!

Lebeau (wchodzi.) Pani Feszen.

P. Kozel. Pani Feszen! Prosić. (Lebeau wychodzi). Ah, szczęśliwa myśl przebiegła mi przez głowę! (P. Feszen wchodzi.)

SCENA PIĄTA.

P. Kozel. P. Feszen.

P. Feszen. Omylono się widać, pragnęłam mówić z J. K. Mością.

P. Kozel. A zastajesz panią Kozel, z którą nie pragniesz mówić.

P. Feszen. Rozmawiałyśmy kiedyś z sobą.

P. Kozel. Tak, przed dwoma laty.

P. Feszen. I to w ten sposób, że tamta rozmowa powinna była zostać pierwszą i ostatnią w naszem życiu!

P. Kozel. Dlaczego? Ludzie na świecie są jak te kulki merkuryuszu na kartce papieru; potrząśnie kto niemi, rozbiegną się w przeciwne od siebie strony. Ale niech nastąpi poruszenie w innym kierunku, a wszystkie znajdą się znów obok siebie. Tak się i z nami dzieje. Namiętności i interesa czynią nas nieprzyjaciołmi, ale przypadek może zdarzyć, że mimowoli wspólność celu połączy nawet największych wrogów... Czyż pani nie uważasz tego za prawdę, tak często powtarzającą się w świecie?

P. Feszen. Nie rozumiem pani zupełnie.

P. Kozel. Być łatwo może. Wierzę pani. Ale posłuchaj dalej. Byłyśmy od pierwszej chwili poznania nieprzyjaciołkami, jesteśmy nawet dotąd niemi, powiem otwarcie, bo nie chcę udawać przyjaźnych uczuć, których nie czuję, i czemu byś pani bez wątpienia nie uwierzyła. Domyślam się jednak, że dzisiaj łączy nas wspólny interes. Jeżeli zatem nie może być mowy o przyjaźni, musimy być sprzymierzeńcami...

P. Feszen. Wspólny interes między mną i panią? Cokolwiek za śmiałe przypuszczenie!

P. Kozel (n. s.) Co za pycha! (Głośno.) Przyznałaś pani, że mnie nie rozumiesz, możesz więc przypuścić, że i teraz się mylisz.

P. Feszen. Więc mów pani otwarcie, co mi masz powiedzieć i czego żądasz.

P. Kozel. Dobrze. Lecz przedewszystkiem zechciej pani być dla mnie z całem zaufaniem.

P. Feszen. Za wiele pani wymagasz.

P. Kozel. Chodzi tu o pani interes. Jak również ja ci zaręczam, że postępować będę szczerze i rzetelnie, bo od tego moje własne dobro zawisło. Pani zajmowałaś się pogodzeniem króla z prymasem?

P. Feszen. Tak. Wyświadczyłam królowi tak wielką przysługę, jakiej spodziewam się, dotąd od nikogo nie doznał.

P. Kozel. W istocie, musisz pani być z tego dumną. Ale z jakiego powodu to uczyniłaś?

P. Feszen. Pani!

P. Kozel. Proszę się nie obrażać. Jeźli wdzieram się w tajniki pani przekonania i uczucia, to czynię dla twego dobra.

P. Feszen. Pani żartujesz ze mnie!

P. Kozel. Broń Boże! Wszelka lekkomyślność najprzód dla mnie byłaby szkodliwą. Pani masz powody czuć do króla pewną urazę, nie bez słuszności mogłabyś uskarżać się na niego, a nawet źle mu życzyć. Możemy mówić z sobą otwarcie. Zostałaś pani zapomnianą przez króla, który dla mnie ciebie porzucił. Podobne kobiéty żywią tylko nienawiść dla swych niewdzięcznych kochanków, a nie pracują dla ich dobra, bojąc się tym sposobem uszczęśliwić także rywalkę.

P. Feszen. Ah, to było dla pani zagadką! Teraz na mnie kolej powiedzieć ci kilka tak przyjemnych wyrazów jak te, które dopiero słyszałam. Pani masz fałszywe pojęcie o naszem stanowisku. Zostałam opuszczoną przez króla, ale nie zapomnianą, zastąpiłaś mię, dzięki swojej zręczności i rozumowi na jego dworze, ale nie w jego sercu. I wszystko co mogłam, uczyniłam dla jego dobra z tego powodu, że go kocham.

P. Kozel. Ah, więc to!

P. Feszen. I dlatego, że on mnie kocha...

P. Kozel. Że cię kocha!

P. Feszen. Można wiedzieć, co się dzieje w całym kraju i po wszystkich gabinetach europejskich, ale nie słyszeć rozmowy dwojga kochanków. Tu, na tem miejscu, gdzie stoisz, kilka dni temu przysięgał mi, że mnie jedynie kocha, i ani ciebie ani innej kochać już nie będzie!

P. Kozel. I pani dla tej przysięgi oddałaś się cała na jego usługi?

P. Feszen. Pracowałam dla Augusta, który mnie kocha.

P. Kozel. Pani się zawiodłaś!

P. Feszen. Co?

P. Kozel. Król panią oszukał.

P. Feszen. Ha, ha!

P. Kozel. Król pani nie kocha, nie myśli o tobie.

P. Feszen. Zazdrość przez ciebie się odzywa.

P. Kozel. Król ma inną kochankę.

P. Feszen. Ciebie?

P. Kozel Nie.

P. Feszen. Nie? Więc kogoż?

P. Kozel. Taką, której nie znał jeszcze przed kilku dniami, a dla której zapomniał dzisiaj o mnie i o tobie, nawet i swojej koronie.

P. Feszen. Pani mnie w błąd wprowadzasz.

P. Kozel. Cóżbym za cel mieć mogła? Jestto okoliczność, która dzisiaj więcej mnie niż ciebie obchodzi.

P. Feszen. Możesz mnie przekonać?

P. Kozel. Mogę. Nie będziemy na to długo czekać. Król zaprosił ją dziś do siebie. Słyszysz pani ten turkot? To kareta, którą po nią wysłał. (Zbliżają się do okna). Widzisz pani tę kobiétę, której Randzau podaje rękę z powozu? Młoda i piękna, nieprawdaż? To ona.

P. Feszen. To kochanka Augusta!?

P. Kozel. Tak. Niedługo możemy być świadkami sceny, która do reszty otworzy pani oczy. Chcesz ją widzieć, to usuńmy się ztąd na chwilę.

P. Feszen. Tak, chcę się przekonać, o ile w tem jest prawdy.

P. Kozel. A jeźli zobaczysz miłość tę samą, jaką tobie przysięgał, ofiarowaną innej kobiecie, czy będziesz go kochać?

P. Feszen. Ah!

P. Kozel. Pójdźmy! (Wychodzą drzwiami na lewo. Henryka i Randzau wchodzą głębią.)

SCENA SZÓSTA.

Henryka. Randzau.

Randzau. Otóż stanęliśmy na pokojach królewskich.

Henryka. Ah, drzę cała... Ta droga trwała tak długo.

Randzau. Niech pani będzie odważną. Trzeba się przyzwyczaić do swego nowego stanowiska. Ci wszyscy ludzie, których spotykaliśmy po drodze, a na których pani nie śmiałaś podnieść oczu, będą niedługo posłuszni na każde twoje skinienie.

Henryka. Ah, panie Randzau, jesteś dobrym dla mnie.

Randzau. Bądź pani tutaj zupełnie, jak u siebie w domu. Ja tymczasem dam znać królowi o naszem przybyciu.

Henryka. Idź, panie Randzau, chciałabym jak najprędzej widzieć króla. (Randzau odchodzi do króla.) Jakież tu duszne powietrze! (Wilhelm wraca od króla.)

SCENA SIÓDMA.

Henryka. Wilhelm.

Wilhelm. Panna Duval!

Henryka. To pan! Dziwisz się zapewne, widząc mnie tutaj.

Wilhelm. Nie. Od wczoraj wiem już wszystko. Wczoraj już widziałem panią w ogrodzie, chociaż ciebie nie poznałem. Czyż pani równie jak król przebaczysz mi mój nierozważny postępek? Omyliłem się, wyobrażałem sobie inaczej...

Henryka. Ah, panie, wszakże chciałeś stawać w mojej obronie!

Wilhelm. I pani się nie gniewasz... mogę zatem zupełnie spokojny się pożegnać.

Henryka. Pan się oddalasz... dokąd?

Wilhelm. Idę się bić — może umrzeć.

Henryka. A!

Wilhelm. Rozumiem, co znaczy ten wykrzyk. Nie pani, ja tobie nic nie wyrzucam. To los tak zrządził. Będziesz pani szczęśliwą, król cię kocha. Ale droga, na którą wstępujesz, śliska i niebezpieczna, wśród kwiatów woniących, znajdziesz i kolców nie mało. Będę prosić Boga o twoje szczęście.

Henryka. Dziękuję, mnie trzeba takiej modlitwy.

Wilhelm. Żegnam panią.

Henryka. Wracaj pan szczęśliwie. (Wstrzymuje odchodzącego.) Panie Wilhelmie... bądź moim bratem!

Wilhelm. Na drugim świecie—tutaj nie mogę. (Odchodzi).

Henryka. Biedny Wilhelm. Dziś pojmuję jego cierpienie — dziś i ja kocham. (Król wchodzi.)

SCENA ÓSMA.

Henryka. Król.

Król. Kochasz Henryko, kochasz mnie?... to do mnie mówiłaś: kocham?

Henryka. Do ciebie, mój Auguście! (Król ją całuje.)

Król. Henryko, winienem cię przeprosić za nieprzyjemności, których wczoraj doznałaś.

Henryka. Lękałam się bardzo o W. K. Mość.

Król. To raz na zawsze ustać już musi. Miłość nasza nie powinna dłużej taić się przed światem. Dlatego wezwałem cię dzisiaj do siebie. Niech wszyscy wiedzą, kto jest panią mojego serca. Tu odtąd będzie twoje miejsce Henryko. Wyglądasz przecudnie w tym ubiorze, a trochę wzruszenia, którego doświadczasz z niespodzianej bytności tutaj, dodaje ci nowego wdzięku. Jesteś zachwycającą. Taką cię mieć pragnąłem, abyś olśniła każde oczy patrzące na ciebie.

Henryka. W. K. Mość chcesz mię wprowadzić między te tłumy twój tron otaczające, między te piękne damy i mężczyzn dumnych ze swego rodu i znaczenia? Oh, Auguście, oszczędzaj swoją biedną Henrykę!

Król. Co mówisz?

Henryka. Przybyłam tu, posłuszna twemu rozkazowi, ale ze wstydem i bojaźnią. Auguście, twój królewski zamek nie dla mnie! Tu wszystko mnie przeraża, zacząwszy od oblicza sług twoich aż do widoku tych marmurowych posągów, patrzących na mnie ze zdziwieniem. W tych zwierciadłach widzę swą postać i pytam się sama siebie: czy to ty Henryko? jakim sposobem weszłaś tutaj?

Król. I czyż nie odpowiadasz sobie wtedy: miłość otwarła mi te pyszne bramy, ta miłość, która i wrota raju otwiera.

Henryka. O nie! Moja miłość nie szukała nigdy przystępu do takich podwoi. W ukryciu i tajemnicy miała ona niebo dla siebie stworzyć. Byłam tak szczęśliwa, kiedy przebrany przyszedłeś do mego skromnego pokoju, a ja nie musiałam myśleć, że widzę przed sobą króla. Nawet i wczoraj—była noc cicha—prócz ciebie nikogo więcej nie obawiałam się zobaczyć, byłam pewna, że nikt o tem nie wie, że cię kocham. A teraz... być wystawioną na tysiące ciekawych oczu, słyszeć dokoła siebie szepty: oto kochanka króla—ocierać się o ludzi, którzy witają mnie ukłonem, a za oczy obrzucą szyderstwem...

Król. Czyż nie wierzysz, że moja miłość i wola są dość silne, aby całą drogę, po której tu będziesz stąpać, wysłać ci różami?

Henryka. Ja wierzę tobie, Auguście, wierzę twemu sercu i dobrym chęciom. Lecz tysiące okoliczności wpływa na wolę człowieka. Na twoim dworze znajdą się kobiéty, które niegdyś, jak ja dzisiaj, szczyciły się twemi względami. Mówiłeś mi o pani Kozel, która przed parą jeszcze dniami była twoją kochanką. Każda z nich będzie sądzić, że pragnę zająć ich miejsce, pozbawić ich wpływu i znaczenia. Ich gniew obróci się na mnie. Będę cierpić, choć ty może tego nie zobaczysz, a jeźli będziesz widzieć, w końcu uprzykrzą ci się te naprężone stosunki; miłość, do której dołączą się zawiść i poziome intrygi, straci wartość w twoich oczach—i wtedy gotoweś mnie poświęcić...

Król. Ah, Henryko, jak możesz mnie posądzać!...

Henryka. Nie gniewaj się. Ja wiem, że mnie kochasz. Ja to czuję. Ale czyż twoje uczucie może trwać wiecznie? O nie! Tam gdzie nie mogą się rodzić coraz nowe pragnienia, gdzie przed okiem człowieka roztacza się szczupły widnokrąg, nie wiele przedstawiający mu przedmiotów, gdzie codzienna troska i staranie w jednej myśli łączą z sobą ludzi, tam miłość może wytrwać do grobowej deski. Ale ty, ty jesteś królem, ty z wysoka patrzysz naokoło siebie, ogarniasz wiele swym wzrokiem i sięgasz daleko!...

Król. Więc czegóż żądasz odemnie, Henryko?

Henryka. Pozwól mi wrócić do domu i nie żądaj nigdy, abym przybyła tutaj wtenczas, kiedy ludzkie oczy mają spoglądać na mnie.

Król. Pragniesz pozbawić mój dwór tak pięknej ozdoby? To się nie godzi, Henryko! Tyś powinna przyświecać ludziom jak gwiazda.

Henryka. Nie!... ja nie mogę oddéchać tem powietrzem. To moja pierwsza prośba, Auguście.

Król. Chcesz powracać natychmiast.

Henryka. Tak.

Król. To być nie może. Jeżeli nie uczynisz zadość memu życzeniu, sceny podobne jak wczoraj częściej się jeszcze będą powtarzać. Ty nie wiesz o tem, pani Kozel od początku naszej znajomości śledziła za każdym moim krokiem. Wczoraj dowiedziała się o twojej bytności u mnie, i po twojem oddaleniu się miałem z nią rozmowę, nie bardzo dla mnie przyjemną. To musi się zakończyć, pani Kozel musi wiedzieć, że cię kocham, i oddawać ci ten szacunek, na który zasługuje osoba wybrana przez króla. W tym celu pragnę ją tutaj zawezwać i oświadczyć jej, za kogo ma cię odtąd uważać.

Henryka. N. Panie, nie czyń tego. Nie chciałabym widzieć tej kobiéty...

Król. Henryko, ja cię o to proszę.

Henryka. Ah! Pozwól mi się oddalić...

Król. Pozostań jednę krótką chwilę, chcę upokorzyć tę kobiétę.

Henryka. O królu, nie dobre masz serce. Ty przesyciłeś się jej miłością, i odtrącasz ją od siebie, ale cóż ona winna, że wszelkiemi siłami się broni i nie umie pogodzić się z swym losem? O, kiedyś i ze mną tak postąpisz! (Pani Kozel i pani Feszen pokazują się w głębi na galeryi. Pani Kozel wskazuje na króla i Henrykę.)

Król. O nie mów tego! Ja jej nigdy nie kochałem tak jak ciebie. Ona biorąc moje serce w posiadanie, wdzierała się zarazem, jeźli nie na tron, to na najwyższy jego stopień, aby jaśnieć przy moim boku. Te kobiéty sprzedawały mi swoje uczucia za ten blask złota, który padał od mojej korony. Któż mi to powie, czyli ja zwyciężałem ich cnotę, czyli też ich własna ambicya? Ich miłość nie była twoją miłością! O nie Henryko, ja się dla ciebie nie zmienię w ten sposób, jak dla wielu innych, nie opuszczę ciebie chłodno i obojętnie, rzucając na pożegnanie ironiczny uśmiech lub wyraz niecierpliwości goniącej za nową roskoszą! Ostatni raz zapytuję cię, Henryko, czy nie zmienisz swego postanowienia?

Henryka. Nie narażaj mnie na to Auguście!

Król. Dobrze.

Henryka. Nie gniewasz się?

Król (uklęka biorąc ją za rękę). Ty jesteś aniołem, Henryko, Ja czuję się przy tobie lepszym, szlachetniejszym. (P. Kozel przystępuje do nich. P. Feszen uczyniwszy kilka kroków naprzód zostaje w głębi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

Król. Henryka. P. Kozel. P. Feszen (poźniej) Randzau.

P. Kozel. Brawo, mości królu, brawo! Na kolanach, z czułością w ustach! Nie widziałem cię już dawno w podobnej roli.

Henryka. O nieba, to ona!

Król (powstając szybko). Pani hrabino Kozel, przedstawiam ci pannę Henrykę Duval.

P. Kozel. Pannę Henrykę Duval — cóż więcéj?

Król. Moję kochankę.

P. Kozel. A!

Król. Moja pani, co znaczy ten ton!

P. Kozel. Może bardzo wiele oznaczać. Mogę nim dać poznać W. K. Mości, że zamiast używać tylu kłamstw i wybiegów, należało wcześniej zdecydować się na odkrycie tej tajemnicy; mogę nim witać tę panią i winszować jej nowej godności, która bez wątpienia nie zasługuje na okrzyki czci i zapału; mogę wreszcie wyrażać nim moje ubolewanie nad jej losem...

Król. Panna Duval nie potrzebuje pani litości.

P. Kozel. Któż to wie? Ja inaczej sądzę, a i ty królu powinienbyś zgodzić się ze mną. Niechaj tylko spojrzy na mnie, a zobaczy swój los w przyszłości. Cóż innego może ją czekać od ciebie? Czyż kiedykolwiek inaczej postąpiłeś? Policz tylko wszystkie te nieszczęśliwe kobiéty, te stargane serca i zgruchotane nadzieje, które masz na swem sumieniu! Nie ma ani jednego kąta w Europie, gdzieby choć jedna na ciebie nie płakała. Turczynki i Niemki, Hiszpanki, Francuski i Polki zaprzęgałeś na przemian do swego rydwanu, kosztując tych roskosznych owoców z pod każdego nieba, które tylko słońce oświeca. Przysięgi, obietnice, lubieżność, fałsz, hipokryzya to twoi pomocnicy i satellici tryumfalnego wozu!... Słuchaj mię dziewczyno! Jeźli lekkomyślność lub próżność rzuciły cię w jego ramiona, możesz przez jakąś chwilę nurzać się w roskoszy i przepychu, a potem kupić sobie męża za złoto z jego ręki otrzymane. Lecz jeźli prawdziwe uczucie popchnęło cię w tę przepaść; jeźli się łudzisz, że dłużej niż niestarta świeżość twego ciała i duszy potrwa jego upodobanie w twoich wdziękach, to dziś już powiedzieć ci mogę, że cię czekają łzy, zapomnienie i rozpacz! I ja także kiedyś pokochałam go. To mało. Oddałam mu się z duszą i ciałem, całą siebie utopiłam w jego istocie, jedyną moją myślą było tylko jego dobro, byłam jego żoną, kochanką, jego ministrem i kamerdynerem. Piękność moję oddałam na łup jego zmysłów, z serca uczyniłam jego anioła-stróża, rozumem uprzątałam mu z drogi każdą zawadę i zmniejszałam ciężar jego pracy... Dziś po dwu latach miłości i poświęcenia porzuca mię najobojętniej, usuwa od siebie jakby kamień leżący mu na drodze. Ale czyż mnie pierszej tak uczynił? Powinnam się była uczyć z licznych przykładów, jakie miałam przed oczyma. Ja byłam już piętnastą jego kochanką. Ty, panno Duval, jesteś szesnastą z kolei. O, bo ten człowiek nie ma w sobie jednej kropli krwi ludzkiej, to jest szatan, tygrys, potwór!

Henryka. Ah pani, powstrzymaj się!

P. Kozel. Ty chcesz go bronić? Ah, ty mnie nie wierzysz! On ci powiedział, że pani Kozel jest dumną intrygantką, która w godnościach i znaczeniu widzi ostatni cel swojej miłości. Tobie trzeba innego świadka (idzie prędko do pani Feszen, i wziąwszy ją za rękę prowadzi przed króla i Henrykę.) Oto go masz...

Król. I pani tutaj!

P. Kozel. Oto kobiéta, której on sam nie oskarży o dumę i ambicyę, która utrzymała na jego głowie spadającą koronę— a jak jej za to zapłacił?!

Król (do p. Feszen). Cóż panią tutaj sprowadziło?

P. Feszen. Twoje wiarołomstwo, mości królu.

Król. Dajmy pokój tej komedyi. Pani przybyłaś tu w interesie prymasa.

P. Feszen. Już zapomniałam o tem. Co mnie obchodzi Prymas i jego polityka, co mi do tego, czy ty czy król szwedzki, czy ktobądź inny będzie dźwigał twoję koronę. Ja wiem tylko jedno, jedno widzę i czuję, że utraciłam szczęście na zawsze, że ty królu złamałeś twoję przysięgę. Oh, zraniłeś mię do głębi serca! Gdybym miała tę siłę, rzuciłabym się jak podrażniona lwica na ciebie i na tę twoję kochankę, aby was w sztuki

potargać! W mej duszy taki żar, jak od rozpalonej lawy. I czegoż ja od ciebie pragnęłam? Zostawiałam ci całą twoję swobodę, wszystkie uciechy i roskosze miłości; wolno ci było obdarzać każdą ulubienicę swemi względami i łaską, czynić wszystko, czego zażąda lekkomyślność, szał i namiętność; dla siebie chciałam tylko pamięci i uczucia. Ty rzuciłeś je pod nogi pierwszej lepszej dziewczynie, która cię swym wdziękiem ujęła. Mości królu, ja tobą gardzę!

Henryka. Ah!

Król (wstępując między p. Kozel a p. Feszen.) Pani!

P. Feszen. Moja rozpacz spadnie na twoje sumienie!

P. Kozel. Bóg cię ukarze za moje łzy.

P. Feszen. Wiarołomny!

P. Kozel. Niewdzięczny!

Król. Ależ na Boga!

P. Kozel. W. K. Mość oszukałeś mnie niegodnie!

P. Feszen. W. K. Mość podszedłeś moję dobrą wiarę!

Król. Uspokójcie się panie, i pomówmy bez namiętności.

P. Feszen. Tak straszliwa zniewaga!...

P. Kozel. Ty nie jesteś godzien miłości żadnej kobiéty!

Henryka. Ah!

Król (opuszczając p. Kozel i p. Feszen.) Ona płacze! Henryko miej litość nademną!

Henryka. Widzisz, jak prędko sprawdziło się moje przeczucie. Ty chciałeś mię wprowadzić w ten wir zazdrosnych i namiętnych uczuć. To co tu słyszałem, boleśnie dotknęło mą duszę. Niestety, stałem się dla tych pań przyczyną cierpień. A co więcej, z mego powodu i ty także cierpisz... One nie miały litości nad tobą!

P. Kozel. Czy pani na naszem miejscu przebaczyłabyś?

Henryka. Tak pani. Słyszałam dzisiaj z waszych ust tyle złego na króla; wyliczyłyście wszystkie zdrady, jakich się w życiu dopuścił; widzę was wreszcie, które odstąpił dla nowych uczuć, a jednak nie mam odwagi go potępić, i wasz los mnie nie przeraża. Kocham go, to dosyć,. to wystarcza mi na całe życie... Jemu zawdzięczam, że doznałam na świecie tego czaru, który naszą istotę nadziemską roskoszą napawa. Dla tego dzisiaj, dla tej jednej chwili, gotowa jestem przebaczyć mu wszystkie błędy w przyszłości. Nie, ja nie mam prawa żądać, aby więcej dla mnie czynił jak to, że mi dał poznać miłość... Być przez niego jeden dzień kochaną wystarczy na wieki! Kiedyś, gdyby serce jego dla mnie ochłódło, jabym go nie przeklinała jak wy, anioł miłości stanąłby wtenczas przed moją duszą i mówił: to ten, któregoś kochała, on grzeszy przeciw tobie, ale on cię kochał... i gorycz mego cierpienia łagodziłaby się litością i wspomnieniem przeszłości. Nie, moje panie, przekleństw i złorzeczeń nie nosi nigdy miłość na swoich ustach.

Król. Dziękuję ci, Henryko. Pani hrabino, pani Feszen, zostałyście zawstydzone. Spodziewałyście się zetrzeć mię na miazgę swemi wyrzuty; sądziłyście, że panna Duval przelęknie się tego czarnego obrazu, jaki postawiłyście jej przed oczy. Ale miłość prawdziwa jest potężną, ona zwalcza najmądrzej przemyślane plany; odezwała się, a wasze słowa przed nią pierzchły jak chmury przed podmuchem wiatru. Porównajcie teraz swoje i panny Duval postępki, a poznacie, któremi kierowało prawdziwe uczucie. Ja nie potrzebuję się nad tem ani chwili namyślać, ja nie wątpię, że tylko ona mnie kocha. Ta chwila przykrą dla mnie była, ale ona urzeczywistniła moje postanowienie. Odtąd co do wyboru mojego serca nie ma już dla pań tajemnicy, i zjawienie się panny Duval na moim dworze nie będzie was zadziwiać. Henryko, zależy to tylko od twej woli, ile razy zechcesz tu przybyć. A teraz czas nam panie pożegnać. (Do Henryki.) Czy każesz odwieść się do domu?

Henryka. Tak, Najj. Panie.

Król (woła do drzwi swych apartamentów): Randzau! (Randzau wchodzi). Odprowadź pannę Duval. Żegnam cię Henryko! (podaje jej rękę).

P. Kozel (n. s. do Randzaua.) Widzisz zdrajco, do czego przyszło.

Randzau (n. s.) Moja siostro, chciałem utrzymać w tajemnicy całą intrygę, aby cię tem więcej zajęło rozwiązanie. (Henryka oddaje ukłon p. Kozel i p. Feszen, na który te zimno odpowiadają. Król prowadzi ją za rękę aż do galeryi w głębi. Randzau idzie za nimi. Henryka i Randzau wychodzą. Król wraca się).

Król (do p. Kozel i p. Feszen). Żegnam was, panie (Odchodzi do swych pokojów).

SCENA DZIESIĄTA.

P. Kozel. R. Feszen.

P. Kozel. Przekonałaś się pani?...

P. Feszen. Aż nadto!

P. Kozel. I cóż myślisz?...

P. Feszen. Zgotować jak najprędzej taki los Duvali, jakiego my dziś doznajemy.

P. Kozel. Tak, trzeba jak najprędzej wyrwać króla z rąk tej dziewczyny, jeźli nie ma być zgubiony na zawsze.

P. Feszen. Muszę się zemścić!...

R. Kozel. Zemścimy się, tylko pani mi ufaj.

P. Feszen. Będę ufać.

P. Kozel. Broń mamy w ręku gotową. Pójdźmy (wychodzą).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

KRÓL LIOGER.

Z FRYDERYKA HALMA.

Szumią olchy wśród bagien i jarów,
Wstaje księżyc z nad skalnych wiszarów;
Zdala słychać jakby szczęk broni,
Odgłos rogów i tentent sta koni,
I w odblasku miesięcznym lśnią zbroje;
Któż to taki wyjeżdża na boje?

Król Lioger to ciągnie tym szlakiem
Z dzielnych swoich rycerzy orszakiem;
Chce owładnąć dziedzinę Lenstera,
Więc pochwycił za oręż, poczt zbiera,
I sztandarów zaświecił tu czołem,
I pomyka jak wichr tym padołem!
A gdy stanie nad rzeką w pogoni,
Orszak goplan wypłynął z wód toni,
Nadsłuchuje zbrój chrzęstu i stali,
I zaśpiewa tę pieśń z plusku fali:
„Cóż to sztandar i miecz twój się wdziera,
Liogerze, w dziedzinę Lenstera?
Czy ty pomnisz, przed laty, wśród sromu,
Gdyś rozbity uchodził pogromu,
Gdy Lenstera lud wziął cię w niewolę,
Coś tu przysiągł w tym leśnym padole,
Iż jak skoro ci będzie zwrócony
Kraj twój miły i tron utracony,
Nie dopuścisz się więcej już zdrady,
Już nie wtargniesz w Lenstera posady?
Wiatrom, słońcu przysiągłeś to święcie;
Pomnij człeku na swoje zaklęcie!“

Tu król butny szyderczo zawoła:
„Tak, przysiągłem, nie przeczę też zgoła,
Żem się zaklął na wiatr i na słońce;
Lecz te świadki? gdzie szukać ich końce?
Zaszło słońce, mój świadek płomienny,
I gdzieś zgasło w otchłani bezdennej!
Świadek wiatr moich słów nie rozumiał,
Lecz i ten już się w puszczach wyszumiał!
Tam gdzie słońce, gdzie wiatr, gdzie zagadki,
Tam i moje zaklęcie gdzie świadki!“

Rzekł, spiął konia, i z dzikim uśmiechem
Błoniem, jarem popędził z pospiechem,
A tuż za nim w ślad wartkim nawałem
Zbrojna jego drużyna mknie cwałem.
Głucho ziemia za nimi odjęka,
A na wschodzie już wstaje jutrzenka,
Kiedy w ciasnym dróg skalnych zakręcie
Lud Lenstera im stanie na wstręcie;
I wnet zerwie się wrzawa piekielna,
Broń o broń już wre walka śmiertelna;
A gdy słońca rozwarło się oko
Liogera znak bujał wysoko,
A gdy wietrzyk poranny się zbudził,
Już się Lenster zwycięztwem nie łudził.
Rzekło słońce: „Nie będzie zwycięzcą
Ten, kto dla mnie był krzywoprzysięzcą!“
Wiatr zaszumiał w swym gniewnym sposobie:
„Jakoś wiernym był mnie, tak ja tobie!“
Tedy słońce, jak jest zapalczywe,
Swą płomienną skieruje cięciwę
Liogera drużynie w źrenicę,
Ciska ognie i skier błyskawice,
Że w ślepocie rycerzy, rumaków,
Liogera nie dostrzedz już znaków!
Ano wiatr też jak ma ich na wstręcie,
Weźmie teraz złość całą w zadęcie,
Miecie żwiry i ostre czerepy,
Kryje nocy całunem szyk ślepy;
Głosy wodzów, dźwięk rogów wnet zetrze
I odnosi gdzieś w głuche powietrze,
Liogera sztandary drze w strzępy,
Głuszy ślepych, obala zastępy!
Więc Lenstera znów ockną się ludy,
Już im żywioł ułatwił walk trudy,
I uderzą na wroga, co w zmierzchu
Swoich źrenic wnet tył da w rozpierzchu,
Liogera nie słyszy już głosu;
Sam też król wnet powalon od ciosu
Padł, i ziemię krwią skrzepłą już kala,
A tłok walki się po nim przewala.

Pierzchli jedni a drudzy w pogoni,
Trupy tylko zostały na błoni;
Zgiełk przycicha i łomot zapasów,
Wstaje cisza wśród stepów i lasów;
A od rzeki tam słychać z oddali
Szum olszyny i spiew z plusku fali,
I wiatr szepce na drożyn zakręcie:
„Pomnij człeku na swoje zaklęcie!“

Lwów 27. lipca 1869.

BRONISŁAW KOMOROWSKI.

ŚWIĘTO TRZECHSETNEJ ROCZNICY UNII LUBELSKIEJ.

Od pół roku blisko zostawał naród polski cały w oczekiwaniu święta narodowego, którego obchód, zapowiedziany przez umyślnie do tego złożone komitety, poruszył bardziej, niżeśmy się tego spodziewali, umysły całej Europy.

Myśl obchodzenia trzechsetnej rocznicy Unii lubelskiej została pierwotnie wypowiedzianą przez posła Smolkę przy sposobności jednego ze zgromadzeń Towarzystwa demokratycznego. Pierwsze kroki jednakże do wykonania tej myśli uczyniono ze strony wychodźtwa. Chętnie przyznajemy wychodźtwu pierwszeństwo w tej mierze. Przyznać należy wychodźtwu i tę zasługę, że czyniąc pierwsze kroki do urządzenia obchodu tego święta narodowego pozostawiło kierownictwo tej sprawy krajowi.

W ślad za zawiązaniem się komitetu na wychodźtwie do obchodu rocznicy Unii lubelskiej zostały takież komitety zawiązane w Poznańskiem i we Lwowie. Z razu było wątpliwem postanowienie co do miejsca, gdzie ma być obchodzone święto unii. Rozmaite były wnioski. Pierwszeństwo w tej mierze byłby miał Lublin, gdzie się odbył ów wielki akt historyczny. Ponieważ jednak pod moskiewskim uciskiem obchodzenie tej uroczystości w Lublinie jest niepodobnem, więc należało upatrzyć inne miejsce na ziemi Polskiej, któreby najbardziej odpowiadało historycznemu znaczeniu owego miejsca, gdzie unia trzech narodów pierwotnie zawartą została. We Lwowie powstała zaraz w początku rokowań nad obchodem rocznicy myśl, że najstosowniejszem do tego miejscem jest Lwów, jako położony na ziemi ruskiej i połączony już przed zawarciem Unii lubelskiej z Polską węzłem nierozerwanym, bo utwierdzonym jeszcze za Jagiełły i Jadwigi przez wyraźne oświadczenie narodu, iż nie życzy sobie nigdy odłączenia od korony. Wydawał się więc Lwów jakoby ogniwem łączącem od dawna ziemie ruskie z polskiemi w jednę rodzinną całość. Przytaczamy te okoliczności jako powody, dla których lwowski komitet właśnie swoję siedzibę przedstawiał jako miejsce stosowne do obchodu uroczystości, ażeby wykazać, że wniosek ten miał swoje głębiej obmyślane podstawy, i nie pochodził z jakowejś próżności lub chęci demonstrowania, którą naszemu miastu niektórzy przeciwnicy wszelkiego ruchu narodowego zbyt pochopnie zarzucają.

Z innej strony przedstawiano Kraków na miejsce uroczystości z powodów, które się każdemu łatwo na myśl nasuwają. Kraków jako stolica dawnej Rzeczypospolitej, przez długie wieki jako kolebka i grobowisko królów, miasto najświetniejszych pamiątek narodowych, nastręczał się sercu każdego patryoty ku obchodzeniu tak ważnego święta narodowego. Przemawiały wszakże przeciwko temu bardzo ważne względy polityczne i narodowe. Bliskość granicy, wielce nieprzyjaźne usposobienie rządu moskiewskiego przeciwko objawowi życia narodowego ze strony Polaków, sam wstręt nareszcie pewnych przeważnych kół w Krakowie od wszelkich głośniejszych objawów narodowego życia i zabiegi czynione już z różnych stron przeciwko temu, gdy zaledwie myśl obchodzenia uroczystości powstała; wszystkie te okoliczności musiały wkrótce skłonić do porzucenia tej myśli. Niektórzy sądzili, że odpowiednim do takiego obchodu miejscem byłoby owe pierwotne gniazdo narodu polskiego, zkąd jego polityczne istnienie początek swój wzięło. Było zatem ulubioną myślą niektórych, iżby to święto narodowe obchodzić w okolicach Kruszwicy i Gopła. Pominąwszy powody, jakie przemawiały przeciwko tej uroczystości na ziemi wyłącznie polskiej, co się także i Krakowa tyczyło, przemawiał przeciw temu ten najważniejszy praktyczny wzgląd, że rząd pruski byłby niezawodnie obchodzeniu takiej uroczystości jak największe stawiał przeszkody, czegośmy się podówczas ze strony rządu austryackiego nie obawiali. Byli wprawdzie i tacy, którzy się nietylko zakazu obchodzenia tej uroczystości ze strony rządu austryackiego obawiali, ale nawet upatrywali zupełne niepodobieństwo obchodzenia takowej w Galicyi. Z tego powodu przychodziło na myśl przeniesienie całego obchodu na tę ziemię w dziedzinie monarchii austryackiej, gdzie życie polityczne większej swobody doznaje. Chciano zatem obmyśleć miejsce stosowne we Węgrzech. Wreszcie gdyby w ogóle okazało się rzeczą niepodobną obchodzić tę uroczystość w granicach państwa austryackiego, postanowiono korzystać z gościnności narodu szwajcarskiego, i tam koło jednego z pomników narodowych, jakie w ojczyźnie miejsca nie znalazły, obchodzić uroczystość. Byłoby to w tym smutnym wypadku, gdybyśmy na własnej ziemi rocznicy unii święcić nie mogli, najstosowniejszym miejscem. Pomniki nasze bowiem są zarówno pomnikami sławy jako i niedoli, przez to samo, że na obcej ziemi stoją, są one pomnikami gościnności ze strony tej wolnej ziemi, gdzie nietylko męczennicy wolności ale i pomniki tego męczeństwa jedynie zupełnie swobodny przytułek znajdują.

Pomysły te i zamysły co do miejsca obchodzenia uroczystości gdzie indziej niż we Lwowie pierzchnęły wkrótce wobec ważnych powodów historycznych i politycznych, przemawiających za tem miastem, któreśmy wyżej przytoczyli, a wreście wobec widoku, że ze strony rządu albo przeszkód żadnych nie będzie, albo jeżeli będą, to się łatwo dadzą usunąć.

Po przedłożeniu powodów przemawiających za Lwo-

wem, z których za najważniejszy uznano ten, że łączy w sobie Polaków i Rusinów, otrzymał przewodniczący komitetu lwowskiego, p. Smolka, ze wszystkich stron oświadczenie się za Lwowem.

Przez to wielce patryotyczne i roztropne dla pomyślniejszego obrotu sprawy narodowej przyznanie Lwowu pierwszeństwa w sprawie obchodzenia „złotego wesela narodów", jak to trafnie nazwano rocznicę trzechsetną Unii lubelskiej, stał się Lwów na tę chwilę ogniskiem życia narodowego. Wielkie prawa rodzą wielkie obowiązki.

Kierujący całą sprawą tego obchodu poseł Smolka, pojął ważność obowiązku, jaki przez ten zaszczyt, przyznany Lwowu przez cały naród, spłynął na miasto. Uznał on, że Lwów nie może godniej odpowiedzieć temu obowiązkowi, jak przez postawienie pomnika odpowiedniego wielkości chwili, jaką przedstawia Unia lubelska, zgodna z duchem narodu i całej Słowiańszczyzny. Przejęci bowiem byliśmy od chwili, gdy myśl obchodzenia rocznicy powstała, tą myślą, że Unia ta jest w istocie swojej zapowiedzią i jakoby wzorem przyszłej wielkiej federaci narodów słowiańskich.

Myśl uświęcenia Unii lubejskiej pomnikiem mogła dopiero powstać, gdy już była pewność co do miejsca, gdzie jej rocznica ma być obchodzoną.

Odkąd już była pewność, że miejscem obchodu będzie Lwów, zaczęto się krzątać około najodpowiedniejszego wykonania tej myśli. Nastręczały się tutaj wszakże dość ważne trudności.

W mieście i krainie zamieszkałych zarówno przez Polaków i Rusinów, wobec żywiołu niemieckiego, roszczącego sobie jeszcze zawsze prawo do hegemonii, pomimo że hegemonia ta i prawnie i faktycznie została obaloną i tylko ostatniemi tchnieniami swojemi jeszcze się wysila na okazanie światu, że nie upadła, było rzeczą pożądaną, ażeby Unia narodów, złączonych przed 300 laty pod hasłem „wolni z wolnymi, równi z równymi", objawiła się jako czyn dokonany.

Zdawało się, że wśród takich okoliczności pójdą Rusini z Polakami ręka w rękę, aby zawrzeć sojusz przeciwko dwom wrogim potęgom: przeciwko obczyźnie i przeciwko uciskowi absolutyzmu moskiewskiego. Jakoż rzeczywiście weszli Rusini w skład większego komitetu, i w ściślejszym złożonym z pięciu członków było dwóch Rusinów. Byłby kto może skłonnym sądzić, że ci Rusini, będąc w mniejszości, bywali przegłosowani i musieli ulegać mniejszości. Lecz tak nie było bynajmniej. Owszem komitet dokładał najusilniejszych starań, ażeby wyjednać jak najrozleglejszy udział Rusinów w obchodzie rocznicy, podobnie jak ruski naród zawarł sojusz z Polakami i Litwinami w Unii lubelskiej w r. 1569. Tą myślą powodowany komitet starał się wejść w porozumienie z Rusinami wszelkich odcieni i wszelkich tak zwanych stronnictw. Wśród tych rokowań objawiły się między Rusinami, poczytującemi się za przedstawicieli „narodu ruskiego", dwa stronnictwa. Jedni nie wahali się jawnie wystąpić ze swoją barwą i nazwać się wprost „Moskalami". Upatrują oni zbawienie Słowiańszczyzny a szczególnie ruskiego narodu w hegemonii Moskwy nad całą Słowiańszczyzną. Drugie stronnictwo pragnie Rusi niepodległej, niezależnej zarówno od Moskwy jak od Polski. Tamto stronnictwo nie ogląda się na formę polityczną rządu i gotowe jest poddać cały naród pod absolutno-monarchiczną władzę carstwa. Drugie stronnictwo zdawało się być bardziej zbliżone zasadami politycznemi do demokratycznej barwy komitetu, urządzającego obchód święta narodowego. Pomimo tej różnicy między obydwoma stronnictwami ruskiemi objawiły obydwa możność skojarzenia się między sobą, a następnie możność porozumienia się wspólnie z Polakami co do obchodu rocznicy unii. Porozumienie się obydwóch stronnictw ruskich nie przyszło do skutku. Już był dzień naznaczony do rokowań między obydwoma stronnictwami, jeden i drugi. Rokowania te spełzły na niczem, i okazało się, co z góry przewidywać można było, że dwa te stronnictwa są bardziej oddalone od siebie niż od Polaków.

Polacy podnieśli hasło wolności, równości i braterstwa. Hasło takie nie może nigdy połączyć ze sobą zwolenników absolutyzmu z jednej a wolności narodowej z drugiej strony. Wypadało się spodziewać, że po takiem rozchwianiu się rokowań między obydwoma ruskiemi stronnictwami, powinnoby się było zbliżyć do Polaków przynajmniej to stronnictwo, które głosi ciągle, jakoby wyznawało zasady wolności i niepodległości Rusi, a które z Polakami podziela sprzeczność przeciwko zasadom absolutyzmu. Jednakże stało się inaczej; nietylko moskiewsko-ruskie stronnictwo ale i tak zwane ludowo-ruskie zostało na uboczu. Obydwa wszakże zapewniły, że nie będą czynić żadnych demonstracyi przeciwnych lub przeszkadzających obchodowi rocznicy ze strony Polaków, byle Polacy nie występowali w imieniu ruskiego narodu.

Zapomniały obydwa stronnictwa, gdy stawiały ów warunek niewystępowania w imieniu ruskiego narodu, że między tymi, których oni nazywają Polakami, było bardzo wielu Rusinów, którzy się bynajmniej nie boją oświadczyć się ze swoją przychylnością dla Polaków. Większej trzeba na to odwagi, niż na to, aby się oświadczać za Moskwą. Bo przyjaciel Moskwy ma poparcie w przemożnym mocarstwie, przyjaciel Polski ma poparcie w narodzie pognębionym, rozszarpanym i nieposiadającym potęgi politycznej.

Nie mógł więc komitet urządzający obchód rocznicy unii dawać przyrzeczenia, że niejako wykluczy naród ruski od tego obchodu, bo naród ten był rzeczywiście reprezentowany w samym komitecie, a jeszcze silniej reprezentowany między ludnością, która poźniej w obchodzie brała udział. Zgodzono się wszakże na to, aby unikać manife-

stowania się w imieniu narodu któregokolwiek, i przyjęto hasło Unii lubelskiej „wolni z wolnymi, równi z równymi“, oraz zasadę federacyjnego zjednoczenia narodów osiadłych w dziedzinie dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

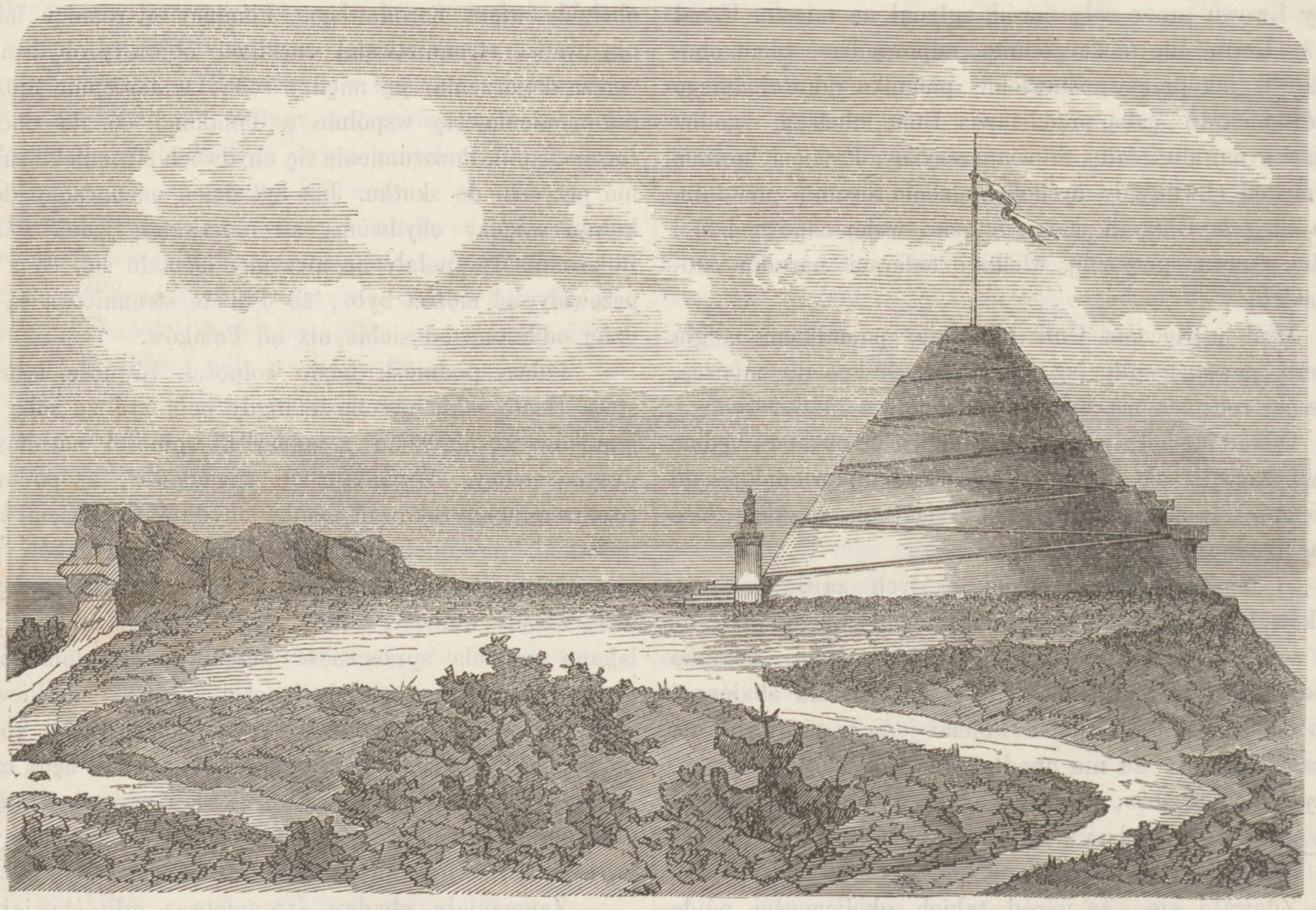
Rokowania ze stronnictwem moskiewsko-ruskiem i ukraińsko-ruskiem opóźniły znacznie przygotowania do obchodu rocznicy.

Urządzającym obchód ten dodawało otuchy to przekonanie, że działając pod hasłem „wolni z wolnymi, równi z równymi“ opierając się na demokratycznem godle: wolności, równości i braterstwa i kierując się zasadą federacyjnego zjednoczenia ludów, muszą pozyskać uznanie ludu bez względu na różnice plemienne.

Skutek okazał, że wniosek ten był słuszny.

Po zamknięciu rokowań ze stronnictwami nieprzychylnemi unii mógł dopiero komitet urządzający święcenie rocznicy przystąpić stanowczo do dzieła.

Wspomnieliśmy wyżej, że obszerniejszy komitet, złożony przez posła Smolkę, wyznaczył z pośród siebie ściślejszy komitet. Musimy tu dodać dla dokładności naszego sprawozdania, że komitet ów obszerniejszy składał się z osób wszelkich odcieni politycznych, że byli w nim przedstawiciele Polaków i Rusinów, co do wyznań byli oprócz chrześcian i żydzi w dosyć znacznej liczbie, zaproszono także wiele osób zamieszkałych we Lwowie, ażeby ile możności cały kraj był reprezentowany. Niemówilibyśmy wcale o tem, że wszystkie warstwy społeczne były tu repreztowane, gdyby nie zachodziła ta niepocieszna okoliczność, że właśnie reprezentantanci tak zwanej „arystokracyi“ nieodpowiedzieli zaproszeniu, owszem usunęli się zupełnie i okazali się przeciwnymi święceniu tej uroczystości narodowej. Nie chcemy im w tej mierze żadnych innych powodów przypisywać prócz zbytniej trwożliwości. Z tego powodu nie widzimy ani w obszerniejszym, ani w ściślejszym komitecie nikogo z tej warstwy społecznej, która rodowym tytułem albo majątkiem się odznacza. Ściślejszy komitet był złożony z Franciszka Smolki, jako przewodniczącego, z Ignacego Czemeryńskiego, Platona Kosteckiego, Henryka Schmitta i Karola Widmana. Po wyczerpnięciu rokowań] ze stronnictwami ruskiemi przedsięwziął komitet ściślejszy ułożenie programu, który też z małemi odmianami został przyjętym przez obszerniejszy komitet. Ponieważ program ten nie mógł być ogłoszonym, w skutek tego, że władze rządowe nie chciały zezwolić na niektóre jego punkta, przeto podajemy tutaj treść jego:



PROJEKTOWANY KOPIEC UNII.

Według tego programu miała uroczystość się święcić głównie we Lwowie, w innych zaś miejscach w mniejszych rozmiarach. W tym celu miano uprosić ze wszystkich ziem polskich i z wychodźtwa deputacye, ażeby na dzień oznaczony przybyły do Lwowa. Następnie miano zaprosić osobną odezwą narody słowiańskie i obcoplemienne do wzięcia udziału, oraz miały wyjść zaproszenia do pojedyńczych znakomitych tak rodaków jak i cudzoziemców. Były już nawet podane w projekcie osoby, do których miano wystósować zaproszenia, a mianowicie znakomitych mężów politycznych lub publicystów, którzy albo okazali się sprzyjającymi sprawie sojuszu narodów w ogóle, albo sprawie polskiej w szczególności. Dosyć nadmienić, że miano zamiar między innemi prosić Garibaldego i innych Włochów nam sprzyjających, z Francuzów pp. Arago, Jl. Favre, Peletana i innych, z Niemców Kinkla, dr. Jacoby, dr. Gneista, Fischhofa, Schuselkę i innych. Lista gości, których miano zaprosić, niezostała ostatecznie ułożoną, gdyż przeszkodził temu zakaz rządowy uroczystego publicznego obchodu.

Deputacye i goście mieli się zebrać we Lwowie najdalej do południa 10 sierpnia, uwiadomiwszy tygodniem naprzód o swojem przybyciu. Tegoż samego dnia wieczorem miało być dane dla delegatów i gości przedstawienie uroczyste (théatre paré) w teatrze polskim. O ułożenie odpowiedniej sztuki zaczął był komitet czynić starania, lecz takowe uprzedził zacny Krystyn Ostrowski przez nadesłanie do dyrekcyi teatru sztuki, której przedstawienie wszakże zostało wzbronione (była ona drukowaną w Dzienniku Literackim). „Dzień 11. sierpnia ma być poczytany (tak opiewał program) jako wielkie święto narodowe, dla tego postara się komitet, aby w dniu tym wszystkie sklepy bez wyjątku były zamknięte, aby wszelkie tak publiczne jak i warstatowe roboty ustały najzupełniej.“ Dzień świąteczny miało zapowiedzieć o wschodzie słońca 100 wystrzałów moździerzowych. O godzinie 9tej miały się odbywać nabożeństwa we wszystkich świątyniach, główne nabożeństwo miało być w kościele katedralnym obrz. łac., gdzie się miały zebrać wszystkie deputacye i korporacye. Po nabożeństwie miały się deputacye, korporacye i stowarzyszenia na placu maryackim i wałach hetmańskich zebrać, zkąd miały wyruszyć w uroczystym pochodzie przez place halicki, bernardyński i ulicę pańską na Wysoki Zamek. Marszałkowie umyślnie w tym celu wybrani mieli szykować cały pochód, straż obywatelska podobnież na ten cel osobno zorganizowana miała utrzymywać porządek.

Pochód miał wyruszyć w samo południe poprzedzony muzyką i chorem spiewaków. Oprócz tego miały poprzedzić pochód dwie chorągwie umyślnie ku temu sporządzone. Place i ulice, którędyby pochód postępował, miały być przyozdobione chorągwiami, dywanami itp. W ciągu pochodu miały grzmieć strzały moździerzowe.

Na Wysokim Zamku miały się uszykować deputacye korporacye, stowarzyszenia i cała towarzysząca ludność sposobem i w miejscu wskazanem przez marszałków i straż obywatelską, i miało się rozpocząć zgromadzenie ludowe. Przed zagajeniem zgromadzenia miał chór odspiewać kantatę, do której tekst miał być ułożony przez Kornela Ujejskiego, do ułożenia zaś muzyki uproszony był Kr. Mikuli; następnie prezes komitetu miał powitać zgromadzenie uroczystą przemową, poczem mowcy wyznaczeni przez komitet mieli z kilku mownic ustawionych w różnych miejscach przemówić wyjaśniając przebieg dziejowy i znaczenie unii lubelskiej; w końcu mieli przedstawić zgromadzeniu odpowiednią rezolucyę do uchwalenia, która byłaby zamanifestowaniem przekonań narodu co do powinności przekazanych mu aktem Unii lubelskiej. Na zakończenie miał być odegrany hymn narodowy wśród towarzyszących mu strzałów moździerzowych, po czem miano przystąpić do sypania kopca.

Wieczorem tegoż samego dnia miała się odbyć zabawa ludowa na Wysokim Zamku, wśród oświetlenia góry zamkowej, około 10tej ognie sztuczne z odpowiedniemi uroczystości emblematami, około północy wreszcie uroczysty powrót z pochodniami do miasta oświetlonego świątecznie.

Tak miał nam upłynąć wśród ciągłych uroczystości ten dzień pamiątkowy.

Następnego dnia, 12 sierpnia było zamiarem urządzających zaprosić ziomków, pobratymców i obcych gości na konferencyę do sali ratuszowej w sprawie zastosowania zasad Unii lubelskiej do dzisiejszego położenia. Program tej konferencyi miał być osobno ułożony. Na zamknięcie całego obchodu miała się tego dnia odbyć wielka uczta, ze świetnością odpowiednią ważnej chwili a oraz uczuciom, jakieśmy gościom spodziewanym objawić pragnęli.

Wszystkie te świetne widoki na obchód święta narodowego zostały zwichnięte przez zakaz rządowy. P. Smolka otrzymał najpierwej na swoje podanie o pozwolenie obchodu odpowiedź odmowną, popartą powodem, iż rząd przewiduje, jakoby zamierzona uroczystość narażała kraj na niepokój i wzbudzenie rozdrażnienia. Dziwna, że motywa, jakich policya użyła, były te same, jakiemi chciano p. Smolkę z różnych prywatnych stron skłonić do odstąpienia od obchodu. Słusznie jednak upierał się Smolka przy tem, że obchodu zaniechać nie można. Pominąwszy to, żeśmy byli winni to przeszłości narodowej, aby uświetnić ten akt tak wysoko ją stawiający, mieliśmy tem bardziej dla obecności obowiązek podjąć i uświęcić zasady Unii lubelskiej, przez których wypowiedzenie wyprzedziły Polska, Litwa i Ruś resztę Europy o trzy wieki. Nie pozostało więc nic innego wobec zakazu rządowego, jak obchodzić uroczystość w takim obrębie, ażeby władze

rządowe obchodowi żadnych prawnych przeszkód stawiać nie mogły. Musiał więc odpaść pochód uroczysty, zgromadzenie ludowe, przemowy, konferencye i w ogóle wszelkie manifestacye publiczne.

Z ubolewaniem spostrzegliśmy, że zakaz rządowy odstręczył naszych ziomków od zapowiedzianych odwiedzin Lwowa. Jakkolwiek bowiem nie mogliśmy zaproszeń ogłaszać, to jednak spodziewaliśmy się, że z własnego popędu zechcą nas odwiedzić Poznańczycy i Krakowianie przynajmniej, jeżeli już nie pobratymcy słowiańscy i cudzoziemcy. Jednakowoż stanowiło w tem wyjątek wielce miłe sercu naszemu wychodźtwo, które zrozumiało, iż nie mogąc zapraszać gości jawnie, pragnęliśmy w duszy oglądać ich pośród nas. Z wychodźtwa pojawił się, chociaż nieliczny, przecież ważny zastęp gości. Przywieźli nam przedstawiciele wychodźtwa ziemię z grobów najznakomitszych mężów naszych, zmarłych na wychodźtwie.

Z całej zresztą programem zapowiedzianej uroczystości pozostały nam nabożeństwa pamiątkowe i sypanie kopca.

Zakaz rządowy miał o tyle korzystny skutek, że obchód uroczystości, który byłby się w razie pomyślnym skoncentrował we Lwowie i byłby zapewne świetnością swoją przyćmił wszystkie partykularne obchody w kraju, stał się świetnym przez to, że się odbywał wprawdzie w cichości, ale na całym obszarze ziem polskich a oraz i na wychodźtwie. Co uroczystość straciła na skupieniu objawu myśli narodowej w jednem ognisku, to zyskała na rozstrzeleniu tegoż na tysiące promieni. Tak sprawdziło się nasze dawne przysłowie, że „nie masz złego, coby na dobre nie wyszło“.

Pomimo tego rozstrzelenia wszakże był Lwów przecież ogniskiem tej przez cały naród święconej pamiątkowej uroczystości.

We Lwowie położono pierwsze posady kopca pomnikowego.

Pomysł do tej pięknej i wielkiej pamiątki wyszedł od posła Smolki.

Założenie kopca stało się jeżeli nie jedynem, to jednakże głównem dziełem rocznicy. Jestto dzieło, które tę rocznicę uwieczni na całą przyszłość. Kopiec będzie dla najpóźniejszej potomności dowodem, że narody zjednoczone przez Unię lubelską zaprotestowały przeciwko ich rozerwaniu.

Dlatego był obchód tej rocznicy jakoby początkiem jednego długotrwałego czynu, który się rozpoczął założeniem kopca, a skończy się wtedy, gdy cel Unii lubelskiej dojdzie do skutku.

Uroczystość sama wypadła cicho i bez wielkiej okazałości, ale chociaż „*Wiener Abend-Post*“ stara się wyperswadować Moskalom, że obchód ten nie miał żadnego znaczenia, to jednakże fakt ten zadaje fałsz temu tendencyjnemu przekręceniu rzeczy, które natchnęła bojaźń przed Moskwą. Obchód odbył się wprawdzie bez owych ostentacyi, których się tak boją w Krakowie, ale odbył się w całym kraju i odbył się z rzewnością, jaką właśnie tylko zakaz podyktowany przez bojaźń Moskwy mógł wywołać.

Rzućmy tylko okiem na ten dzień 11 sierpnia. Ile to się równocześnie odbyło uroczystych aktów w całym narodzie. Była to chwila wielka, święta, w której ten co pod strzechą swoją na głębokiej Żmudzi paciorek cichy zmawiał ze swoją rodziną i czeladką, zarówno solidarnie poczuwał się do wielkiej całości narodowej, jak ten, co we Lwowie w polskim stroju rzucał uroczyście garście ziemi na kopiec pamiątkowy, i ten co w dalekiej Ameryce składał ofiarę łez u stóp pomnika Kościuszki. Jedno uczucie, jedna myśl jednoczyła wszystkich prawych Polaków, Litwinów i Rusinów w tej samej chwili w jeden wielki naród, i stała się rzecz, której żadna policya, żaden mocarz nie powstrzyma.

Odbyło się święto narodowe w jednych miejscach głośno, jawnie i uroczyście, w innych w głębi serc ludu. Sprawdziły się słowa św. Pawła: „Budujcie kościół boży w sercach waszych“.

Zbudowaliśmy pomnik narodowy w sercach naszych, a widomym tego duchowego pomnika znakiem jest kopiec na górze zamkowej.

Sypanie kopca stało się wobec zakazu uroczystych obchodów głównym aktem tego święta narodowego.

Godzi się jednakże nadmienić, jak ten obchód cicho a rzewnie odbył się we Lwowie. Opisuję przebieg tej rzeczy nie jako interesowany w niej, ale jako zimny spektator.

Ludność nasza uczuła ważność dnia tego, i podczas gdy kupcy wcześnie z rana, wcześniej nawet niż w inne zwykłe święta sklepy pozamykali, gdy po warsztatach wszystkie roboty pozastanawiano, usunęły się przekupnie z targowic, a miasto miało jak pod wpływem rószczki czarodziejskiej, od razu pozór zupełnie świąteczny.

Nabożeństwo główne odbyło się w kościele OO. Dominikanów z własnej inicyatywy konwentu, który umyślnie w tym celu udał się do komitetu urządzającego obchód, aby oświadczyć, że życzy sobie uroczystością kościelną uświęcić ten dzień pamiątkowy. Rozumie się, że komitet przyjął tę gotowość z najżywszą wdzięcznością. Nabożeństwo miało się odbyć w cichości nawet bez kazania, głównie z powodu, że jeden z najcelniejszych kaznodziejów naszych, ks. Korotkiewicz znajdował się pod tę porę w podróży. Nad wszelkie spodziewanie pospieszył jednakże ks. Korotkiewicz na dzień ten do Lwowa i uświetnił stosownem kazaniem uroczystość kościelną, a Towarzystwo przyjaciół śpiewu przyczyniło się z własnego natchnienia przez odspiewanie pięknych chorów do podniesienia tej świetności.

Po ukończeniu nabożeństwa udała się ogromna ilość mieszkańców na kopiec. Pochód jakkolwiek nie był według pewnego planu uszykowany i nie mógł się odbyć w sposób programem określony, stał się przecież uroczystym właśnie przez to, że bez przygotowania, bez wzywania i ogłaszania udała się ludność lwowska wśród deszczu i rozmaitych przeszkód tłumnie na górę. Mówiąc o przeszkodach musimy nadmienić, że między innemi rozpuszczono pogłoskę, jakoby miejsce, gdzie się miało zacząć sypanie kopca, było otoczone zbrojnem wojskiem.

Pogłoska była fałszywa, umyślnie zapewne w obieg puszczona dla odstraszenia ludności. Przybywszy na górę pod przewodnictwem posła Smolki zastaliśmy tam ustawiony jakoby węgielny kamień w miejscu, zkąd miało się zacząć sypanie kopca. Byłato skrzynka wyrzeźbiona z kamienia, do której miały być włożone papiery na pamięć dnia tego spisane wraz z innemi pamiątkami. Ponieważ jednak uroczysty obchód w ogóle stał się niepodobnym, a zatem i położenie kamienia węgielnego zostało odroczone do następnego roku, w którym może będzie podobnem obchodzenie święta narodowego odpowiednio jego znaczeniu. W tym więc roku miał ten kamień węgielny służyć tylko za skazówkę, zkąd się zaczyna sypanie kopca, i miał być przechowany w miejscu pewnem aż do dnia, gdy będzie zakładany kamień węgielny.

Przy tym znaku stanąwszy przemówił poseł Smolka o znaczeniu dnia i kopca, przyczem zwrócił uwagę na to, że wobec zakazu uroczystości ze strony rządu nie może się odbyć zamierzone zgromadzenie ludowe i nie wolno nikomu przemawiać publicznie. Dla tego po przemówieniu przystąpił poseł Smolka pierwszy do sypania ziemi na około skrzyni kamiennej, co za jego przykładem uczynili inni obecni członkowie komitetu urządzającego obchód rocznicy, jakoteż obywatele miasta, a następnie cały tłum ludzi zgromadzonych bardzo licznie pomimo ulewnego deszczu.

Skrzynia kamienna, mająca służyć za kamień węgielny, została w krótkim czasie tak przysypaną, że musiano zaniechać pierwotnego zamiaru zabrania jej ztamtąd i przechowania aż do następnej rocznicy tego dnia.

W chwili owej wielce rzewnej, kiedy wszystko się rzuciło do usypywania pierwszych warstw tego ziemnego pomnika, jednej z najwznioślejszych dób w dziejach naszego narodu, pojawiły się dwie deputacye, które całemu obrzędowi dodały rzewności i świetności. Jedna z nich pod przewodnictwem Krystyna Ostrowskiego ofiarowała medale bite na wychodźtwie na pamiątkę Unii lubelskiej a oraz ziemię z grobów sławnych Polaków na wychodźtwie zmarłych, z cmentarza Montmartre, dla wysypania jej na kopiec. Druga deputacya przyniosła ziemię z Sołowijówki.

Po załatwieniu pierwszych czynności około założenia odbyła się skromna, ale serdeczna i przyjacielska uczta w tak zwanym domku szwajcarskim góry zamkowej. Przemowy i toasty nadały tej uczcie cechę zjednoczenia narodów, które zawarły Unię lubelską, byli tam bowiem reprezentowani zarówno Rusini, jak Polacy i Litwini, a byli i Polacy wyznania mojżeszowego, obok księży katolickich, którzy nawzajem sobie wynurzali, krom różnicy wyznania, najzupełniejszą zgodność uczuć patryotycznych i celów narodowych.

Takimto aktem wzniosłym przy całej skromności i cichości uświęcony został dzień pamiątkowy.

W ciągu dnia nadeszła do posła Smolki wielka ilość telegramów i odezw ze wszystkich ziem polskich i ze wszystkich miejsc zagranicznych, gdzie nasze wychodźtwo przebywa.

Przy tak żywym udziale całego narodu jaśniała przymusową swoją nieobecnością, przymusowem milczeniem, ta właśnie część Polski, gdzie Unia zawartą została, oraz ziemie litewskie i ruskie, które głównie do tego sojuszu należały. Nie potrzebujemy wdawać się w tłumaczenie przyczyn tej przymusowej nieobecności, wiadomo bowiem światu, jak okropnie cięży na nich gnębiąca ręka caryzmu. Pomimo to udało się niewiadomemi nam drogami i z tamtych stron przemycić garście ziemi, które z różnych miejsc Polski, Litwy i Rusi pod zaborem moskiewskim zostających, a wsławionych dziejowemi zdarzeniami tak dawniejszych czasów jako i najnowszej naszej krwawej i męczeńskiej doby, zostały nadesłane na ręce posła Smolki, aby je wysypać na kopiec pamiątkowy.

Dzień uroczystości zakończony został oświetleniem dobrowolnem prawie wszystkich domów bez różnicy, z wyjątkiem gmachów rządowych i niektórych pomieszkań prywatnych, a niestety także i gmachu ratuszowego, jako też niektórych zakładów zostających pod kierunkiem krajowców, jak np. Towarzystwa kredytowego, banku hipotecznego i innych.

Odtąd stało się sypanie kopca codziennem zajęciem bardzo wielu osób, a miejsce to celem pielgrzymki powszechnej, nietylko Lwowian, ale wszystkich rodaków przybywających do Lwowa. Wielu ziomków naszych przybywa umyślnie w tym celu, a różne korporacye wysełają ze swojego grona przedstawicieli, którzy przywożą ziemię ojczystą z miejsc swoich, aby ją złożyć na kopcu.

Czynność ta sypania kopca, która jednoczy wszystkie strony naszej ojczyzny i wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, jest już przez to samo zdarzeniem niepospolitej doniosłości; wszelako jest to tylko początek dzieła, którego dokonanie zostawione jest dłuższemu czasowi.

Kopiec ten ma być według planu, (którego rysunek podajemy), do wysokości 20 sążni usypany i otoczony drogą prowadzącą aż na sam wierzchołek. Na wstępie do tej drogi ma być wystawiona ozdobna brama, w miejscu

zaś, gdzie się krzyżuje droga wiodąca dwiema stronami ku wierzchołkowi, ma być wybudowaną krypta, w taki sposób, ażeby wschodzące słońce dnia 11 sierpnia oświetlało jej wnętrze. Krypta ma być zewnątrz i wewnątrz ozdobiona rzeźbami i ma oraz służyć do przechowania pamiątek odnoszących się do unii lubelskiej.

Tak tedy zostanie akt wiekopomny unii uwieczniony pomnikiem, który zapewne przetrwa wieki. Pomnik ten będzie służył za miejsce święcenia wielkiej rocznicy, która odtąd staje się świętem narodowem, i będzie służyć za punkt zboru dla rodaków tęskniących do odbudowania tego wielkiego dzieła, a dla obcych za świadectwo i wskazówkę, że wielkie zasady wolności i równości, nad których przeprowadzeniem w czyn wiek obecny tak usilnie pracuje, zyskały w narodzie polskim już przed trzema wiekami tak wielkie uznanie, iż na nich oparto całą budowę Rzeczypospolitej.

Nie możemy ani chwili wątpić, że nasienie, jakie zaszczepiła Unia lubelska, musi zejść, wzróść i przynieść błogi owoc nietylko dla narodów, które ją zawarły, ale dla wszystkich narodów naszego świata.

Karol Widman.

PO BURZY.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

PRZEZ

ELPIDONA.

(CIĄG DALSZY.)

Jak wy śmiecie grać polskiego? Na Sybir wszyscy pójdziecie.

— *Pawłowicz, szto ty dielajesz?* — odezwał się surowo Brinken.

— Nie słyszysz, polskiego grają.

— Durny z ciebie człowiek, taże u jego prewoshoditelstwa namiestnika Berga bal się od tego zaczynał. Grać!— zawołał do muzyki tonem rozkazującym i odwrócił się.

— U Berga, u Berga — mruczał kapitan — oni wsie prochwalajut sia etom Biergom i zastawliajut sia, a Berga i ich wsiech czort zabierit. Rosya imieje innych ludiej. Bergiem się zastawia; poczekaj, jak ja ci przystawię stołka, to ci i Berg nie pomoże.—Zły i wściekły wyszedł do drugiego pokoju; lokaj roznoszący chłodniki poszedł za nim i podał mu lody. Kapitan uważał to za szyderstwo, że go wzburzonego chciano chłodzić lodami, i uderzył lokaja tak silnie w twarz, że temu wszystko z rąk wypadło. Taca upadła z łoskotem na ziemię, szklanne spodki tłukły się i rozlatywały na posadzce. Henryk poszedł łagodzić gniew kapitana i wytłumaczyć mu nieporozumienie. Udobruchał go wreście proponując grę. Odetchnął nieco, zasadziwszy awunturnika przy zielonym stoliku, otarł spotniałe czoło i wracał do gości. Po drodze wstąpił do sypialni żony, niespokojny o dziecko, które tego dnia trochę gorączkowało. Henryk kochał je namiętnie, wśród zabawy i zajęć nie mógł zapomnieć o niem. Wszedłszy zastał tam swoję żonę, która opodal kołyski siedziała przy biurku wsparta na ręku.

— Ty tutaj?

— Umęczyłam się, muszę odpocząć.

— Tobie nie w smak ten bal, prawda?

Nic mu nie odpowiedziała i wymijając odpowiedź rzekła:

— A ty bawisz się?

— Trudno, moja duszko, gospodarzowi bawić się, idzie tylko o to, aby się drudzy bawili.

— A ci Moskale, jakże strasznie na każdym kroku obrażają nas!

— Takie bydle nie może obrazić. Obracając się wśród nich, zdaje mi się, że jestem w menażeryi i że pokonywam dzikie zwierzęta.

— Żeby się tylko nie rzuciły na ciebie.

— Nie ma obawy. Oni pokonali nas siłą brutalną, do nas należy zwycięstwo moralne.

Kazimira uśmiechnęła się boleśnie na te słowa. Henryk nie uważał tego i zagadał znowu:

— Czy uważałaś Eufemją i Hryłowa. Ona także zwyciężyła.

— Żadna uczciwa Polka nie będzie jej zazdrościć tego zwycięstwa.

Muzyka odezwała się znowu.

— Grają kontredansa — czy jesteś angażowaną?

— Nie.

— Ale przyjdziesz do salonu niezadługo?

— Trochę jeszcze posiedzę tutaj.

— Adaś zdaje się ma oddech równiejszy i spi spokojniej.

— Spokojniej — powtórzyła jak echo.

Po odejściu męża czas jakiś siedziała tak jeszcze, potem zerwała się konwulsyjnym ruchem, rzuciła głowę w tył, aż się zatrzęsły bujne sploty jej włosów, i chodziła szybko, jakby łamiąc się i pasując ze sobą.

— Przedwczoraj rocznica, jak tu ginął w płomieniach, a dziś u nas bal. Ha! to okropne. Jak strasznie musi patrzeć duch jego w tej chwili na mnie, ale ja niewinna, nie mogłam przeszkodzić, zazdrość Henryka wiąże mi usta. Och, jakie to męczarnie.

Chwyciła się za czoło rękoma i usiadła przy otwartem oknie. Chłód nocy otrzeźwił ją i uspokoił nieco. Noc była pogodna, za kołyszącemi się topolami przesuwał się powoli księżyc jak lampa rzucając pasy promieni na gazon. Kazimira zapatrzyła się przed siebie, naraz zdało jej się, że z za brzozowej altany wysunął się jakiś cień, przesunął się po jasnej ścieżce, zbliżając się ku dworowi i znikł w gęstwi drzew. Cień ten czy przez złudzenie i czy naprawdę miał postać i kształty tego, o którym myślała; zjawisko jednak było tak krótkie, tajemnicze, że Kazimira przypisała je raczej swej wyobraźni niż oczom.

— Jakże żywo mam go wciąż w pamięci — mówiła — jak wszędzie widzę go przed sobą. Jestże to grzech miłość dla umarłych?

Nad tem pytaniem zamyśliła się czas jakiś, potem rzekła:

— Dziś jeszcze nie modliłam się za niego.

Uklęknęła przed obrazem i przy skocznych dźwiękach polki odmówiła „wieczny odpoczynek za umarłych“.

Rola gospodyni zmusiła ją wnet porzucić klęcznik i ciche ustronie i wrócić do gości. Zabawa szła już na dobre; świece i serca topniały od gorąca, oczy kobiét i usta mężczyzn stawały się coraz wymowniejsze, krew i wachlarze żywiej się poruszały, a rozbujałe szybkim oddechem piersi jak fale wznosiły się i opadały.

Otworzono drzwi na ogród, część towarzystwa przeniosła się tam, chodząc lub siedząc prowadziła głośną lub cichą rozmowę stosownie do jej treści. Tu podziwiano piękną noc głośnemi wykrzyknikami, tam jakiś młodzieniec po cichu szeptał miłosne wyznanie młodej kobiécie, którą prowadził pod rękę; stary kawaler komplementami obsypywał toalety pań, a dzieci głośno napierały się spania i cukierków. Dwie młode mężatki wziąwszy się pod rękę odeszły w mniej ludną część ogrodu i siadłszy na kamiennej ławce prowadziły po cichu żywą rozmowę.

— Wiesz Melanciu, że nie zazdroszczę Henrykom tego wieczoru, obniosą ich po okolicy okropnie za to.

— I nas z nimi.

— Nie chciałam być na tym wieczorze, ale mąż tak nalegał.

— A mój, wstyd mnie powiedzieć Helenko, sprowadził mnie tutaj obietnicą, że mi kupi brylantową kolję, którą z potrzeby sprzedaje nasz sąsiad. Przecudowna robota, powiadam ci.

— W takim razie nie powinnabyś pozwolić mężowi grać w karty, kapitan ma ogromne dzisiaj szczęście, gotów wygrać twoją kolję.

— A to dziki zwierz ten kapitan, co on dziś nie wyrabia.

— Boję się, że będzie gorzej, skoro przebierze miarę w piciu.

— Ja odjeżdżam zaraz po kolacyi.

— Cicho! coś szeleści za nami.

Urwały rozmowę i nasłuchiwały trwożliwie, szelest oddalał się w inną stronę, aż ucichł zupełnie.

— Przestraszył mnie czegoś ten szelest — odezwała się po chwili Helena, oglądając się w około — ten ogród dziwnie przykre robi na mnie wrażenie.

— Nic dziwnego, miejsce to było świadkiem strasznego wypadku. Dwa lata temu, nawet jakoś w tym czasie wypada, Moskale spalili żywcem tam na prawo w gumnach Floryana Z. Znałam go, był to piękny mężczyzna, wszyscyśmy go lubili. Był narzeczonym Kazimiry a przyjacielem jej męża.

— I oni wydali bal w tych miejscach, tak prędko po jego śmierci, to niegodnie!

— Wszak pierwej jeszcze było wesele.

— Nie byłabym tego przypuściła po Kazimirze.

— Mówiono, że ojciec jej życzył sobie tego koniecznie. Powstanie i choroba obdłużyły jego majątek, jedynie duże pieniądze i gorliwy zastępca mogli go wyratować od ruiny; Henryk dawał jedno i drugie.

— I czy Kazimira jest zadowolnioną z tego związku?

— Któż to zgadnie? Ja jednak wątpię; uważałaś jak dziś jest bladą i smutną.

— Znowu ten sam szelest.

— Chodźmy ztąd Melanko, ja się czegoś boję w tych ciemnościach.

Weszły do salonu ogrzanego gorącemi oddechami; Melanka przeszła do grających, by męża odciągnąć ztamtąd.

Przy zielonym stoliku siedział jej mąż i kilku jeszcze obywateli obok kapitana żandarmów i Brinkena.

Tego ostatniego nie znamy jeszcze dobrze. Był to Rosyanin starej daty, zabytek systemu i czasów Mikołajewskich, ale obok surowości był to człowiek prawy i dobry ojciec rodziny. Nie cierpiał Milutyńców i całej tej partyi wichrowatej, której ostatnie niepokoje w Polsce oddały władze w rękę; wierzył, że rządy tych rewolucyonistów nie długo potrwają, że skoro carowi nie będzie więcej potrzebną ta miotła, wyrzuci ją w Sybir. Podczas powstania naczelnik Brinken był srogi ale ludzki, po powstaniu jednak bardziej srożyć się zaczął, był despotycznym, szlachtę łajał, obchodził się z nią po grubijańsku i dziko. Byli jednak ludzie, dla których Brinken nie był takim; i dziwna rzecz byli to ludzie, o których wiedziano, że byli najczynniejsi w powstaniu i najgorliwsi patryoci. Mówiono

z tego powodu, że Brinken sprzyja sprawie polskiej, czemu jednak zaprzeczyć trzeba. Brinken lubo Inflantczyk rodem, należał duszą i ciałem do Rosyi, służył jej jak pies wiernie, ale jako człowiek prawy a wojskowy cenił prawość i odwagę, gdziekolwiek ją widział, a brzydził się podłymi, komedyantami politycznymi, którzy w świetnych chwilach powstania błotem obrzucali go, a potem wpół się zginali w ukłonach przed nim. Z tego cośmy o nim powiedzieli, nie trudno sobie wytłumaczyć jego ludzkie dosyć obejście się podczas rewizyi w pokoju Kazimiry; przyczyniała się do tego niechęć, jaką miał do Pawłowicza, którego pogardliwie nazywał: nowym Rosyaninem. Ci dwaj ludzie niecierpieli się i gdzie mogli szkodzili sobie nawzajem. Teraz siedzieli naprzeciw siebie. Hryłowa nie było z nimi, tak przylgnął do brunetki, że go oderwać od niej ani do kieliszka ani do kart nie można było. U Rosyanina to już najwyższe oznaki miłości.

Gra szła grubo, pęki pogniecionych banknotów padały na stół; kapitan żandarmski miał szalone szczęście, to też był w wesołym humorze, śmiał się, dowcipkował i drwił z przegrywającej szlachty i ciągle wołał o wino.

— Czemu pan taki blady — odezwał się do jednego obywatela, który resztę pieniędzy stawiał na odegranie, bo to była dzierzawa roczna, którą miał jutro wypłacić — wyglądasz pan jakbyś nie swojemi grał pieniądzmi.

— A pan jeszcze wróciłeś próbować szczęścia ze mną— odezwał się do drugiego — to próżno, my Rosyanie na każdem polu was zwyciężymy.

— Pawłowicz, toż widzisz że i ja przegrywam — odezwał się Brinken.

— I was zwyciężymy.

— Pawłowicz, trzymaj ty mordę lepiej na uwięzi — wybuchnął Brinken.

Kapitan nic nie odpowiedział, choć oczy jego zaiskrzyły się od gniewu.

— No, pięćset rubli kapitanie — rzekł ten, który wrócił do gry — idzie?

— Wot' durnyj człowiek, zapala się i przegra.

— Kapitanie! Proszę nie obrażać.

— A to haroszyj czełowiek, ta wy nam gorsze słowa mówili i pisali w powstaniu, a my to zjedli, a teraz my górą wszędzie. Ot! patrz, wygrałem.

Zagarnął pieniądze i uśmiechnął się po diabelsku patrząc za odchodzącym.

Niezadługo Melania stojąca za krzesłem swego męża zwróciła jego uwagę.

— Pani pewnie kusisz męża, aby nie grał. Słusznie, ja gdybym miał taką żonkę z takiem ładnem ciałem, tobym na karty ani spojrzał, jeno całował a lizał to prekrasne ciałko.

Melania ściągnęła brwi i odeszła.

— Jakie te Polki wstydliwe aż miło, lada komplement je żenuje. To także urok. U nas w Rosyi to możesz kobiétę chwalić od głowy do nóg, a nie spuści oczów, jeno bystro będzie poglądać na ciebie i czekać więcej.

Wszyscy w milczeniu i z niechęcią słuchali niesmacznych dowcipów kapitana; ciągła przegrana niemało się także przyczyniała do złego humoru grających. Jeden tylko kapitan ze wszystkich wygrywał i mówił.

— A pan Hyacynt nie grasz?— odezwał się do jednego opasłego jegomości stojącego przy piecu — musiał ci ostatni bal dużo wyskubać rubli, kiedy teraz tak oszczędzasz. A nie zaprosiłeś mnie pan. Pamiętaj że drugi raz tak ci zrobię, jak w Hranczówce, gdzie posłałem dwóch moich ludzi, którzy z nabitemi rewolwerami stali w bawialnym pokoju. Toż to musiało być pociesznie, jak ci ludzie wobec nabitych rewolwerów żandarmskich się bawili, skakali i udawali wesołość. Skarzyli mnie za to do gubernii, ta i cóż, wytłumaczyłem się, że to dla ich bezpieczeństwa posłałem żandarmów, bo partya wichrzycieli chciała podpalić schody pod bawiącymi się, ta i wywinąłem się.

— Dwa tysiące rubli — odezwał się znowu głos za kapitanem, ten sam, który już poprzednio pięćset-rublową stawkę przegrał.

Wszyscy spojrzeli na niego, sam kapitan przestał dowcipkować i odwrócił się. Stawiający był blady, twarz się jego przeciągła, oczy zaczerwieniały, brzydki wyraz namiętności zeszpecił mu rysy. Brinken z pod brwi poglądał na niego i rzekł szorstko:

— W powstaniu nie byłeś pan tak odważny.

— Pan naczelnik się myli, ja nie byłem w powstaniu nigdy.

— Może nawet biłeś powstańców, co? — drwił naczelnik — wy wszyscy teraz pokorni poddani cara.

Żaden z grających nie odpowiedział na to, w milczeniu zgryźli tę przymówkę.

— No cóż? dwa tysiące rubli idzie, kapitanie? — powtórzył przybyły.

— Tak czemu nie ma iść; ale się boję, że pana szlak na miejscu zabije, jak przegrasz. Bo ja w tym dworze szczęście mam widoczne. Pamiętam dwa lata temu, byłem wtedy praporszczykiem w pułku, hulałem tu z moimi sołdatami, za podpalenie dworu zostałem wyższym oficerem. Mnie panowie macie podziękować, że się w obszernych salach bawicie, bo tamten dwór to była już rudera.

Obecną szlachtę mróz przeszedł na te słowa, wszyscy zcierpnęli, nie popatrzyli na siebie, każdy radby był teraz pod ziemię się schować ze wstydu przed drugim.

— Dwa tysiące rubli — zawołał gracz niecierpliwy.

— Idzie.

Kapitan rzucił kartę, przegrał.

To dodało wszystkim ducha i humoru.

Kapitan blady, drżącemi rękami wyliczył pieniądze i rzekł:

— Bierz pan; ale ci powiem, że grasz jak partyzant, wypadasz co chwila jak z lasu, urywasz i uciekasz.

— Więc niech zostaje wygrana, gram o całe.

Kapitan się zawahał; piegowata twarz jego miała w tej chwili kolor brudnej ziemi, powieki drgały spazmatycznie nad turkusowemi oczami, a sine wargi trzęsły się.

— No, cóż kapitanie?

Kapitan nic nie mówiąc wyrzucił kartę.

— Przegrałeś znowu.

— Jakto przegrałem? Mnie sama karta wypadła z rąk.

Wszyscy oburzyli się na to szalbierstwo, przeciwnik kapitana uśmiechnął się dwuznacznie, spojrzał na siedzących koło siebie i rzekł:

— Dobrze, więc teraz idzie o całą wygranę, ostrożnie kapitanie, by ci karta znowu mimowoli z rąk nie wypadła.

Kapitan pobity własną bronią znowu spojrzał jak jadowite zwierzę na przeciwnika, nie umiał się odciąć, zapomniał języka w gębie.

— Więc idzie?

— Idzie.

Drzącą ręką wyrzucił kapitan kartę— przegrał.

— Brawo! brawo! — zawołało kilku winszując wygrywającemu.

— Czego się pan drzesz? — zawołał na jednego z nich kapitan z furyą — co to znaczy „brawo"? nie jesteś pan na komedyi.

Wygrany z uśmiechniętą zadowolnioną twarzą sięgnął po pieniądze; kapitan przytrzymał go za rękę.

— Nie skończyliśmy jeszcze, ja dubluję.

Poczęły się szmery i sykania w towarzystwie.

— Nie można, nie można, to za wysoka gra.

— A ja chcę grać, ja się nie pozwolę okradać.

Zrobił się ruch i gwar koło stołu, wszyscy oburzeni powstali. Jeden tylko wygrywający zachował flegmę i spokój.

— Stawiaj pan więc.

— Na słowo.

— My w słowa nie gramy—odezwał się Brinken, który teraz tryumfował nad pobitym.

Jak przyparty do muru dzik, rzucał kapitan na wszystkich wściekłe, straszne spojrzenia, a rękami przytrzymywał kupę banknotów nie ustępując. Wreszcie dostrzegł gospodarza wchodzącego do pokoju.

— Panie Henryku, pan mi pożyczasz tę sumę, prawda? — zawołał.

— Jaką sumę?

— Gram na odgrywkę — rzekł wskazując na stół.

— Ja takiej sumy nie mam obecnie.

— Ale ją mieć pan będziesz nie długo, więc zaręcz za mnie.

Henryk się zastanowił, pomimo zasady swojej ujmowania sobie wrogów, by ich potem wyzyskiwać, trudno mu było zdecydować się na tak znaczną sumę; spostrzegł, że jego tendencye polityczne zaczynają za wiele kosztować.

— Nie wiem jak prędko będę mógł rozporządzać tą sumą — odrzekł zakłopotany.

— Pojutrze pan mieć będziesz pieniądze — zawołał kapitan zapalając się — no ręczysz?

— Ręczę — powiedział powoli z namysłem Henryk.

— Ciągnij pan więc — zawołał kapitan na przeciwnika.

Ten rzucił i znowu wygrał.

— To oszukaństwo — krzyknął zaperzony, zapieniony, szalony prawie.

— Kto tu z nas chciał oszukiwać — odrzekł spokojnie przeciwnik.

— Co ty psi synu, śmiesz mnie posądzać?—Dobył rewolweru i skierował go ku piersi przeciwnika. Ale w tej chwili Brinken przyskoczył ku niemu, przytrzymał ramię jego i zawołał gromkim głosem:

— Pawłowicz, każę cię aresztować, jeżeli będziesz chciał robić burdy.

Wyjął mu rewolwer z rąk i pchnął go na sofę.

— Zimnej wody mu dać, niech się otrzeźwi.

Kapitan zatoczył się i upadł na sofkę; postąpienie naczelnika zaimponowało mu, nie myślał nawet obrażać się o to, siła i groźba mają urok dla tych ludzi; nie bolało go uderzenie, ale bolała go przegrana. Zasępił się i zamyślił, może myślał nad tem, jakby to dobrze było, żeby nie był przyjmował stawki przeciwnika, może szukał sposobów pomszczenia się na naczelniku i grających, na których kładł winę swojej przegranej; może myślał nad tem, zkąd oddać pożyczkę, albo raczej jak nie oddać.

— Gotów skarżyć — rozmyślał sobie. — A mógłby darować, on taki będzie teraz bogaty, ale nie daruje szelma szlachcic. A gdyby...

Coś dowcipnego pomyślał, bo zasępiona twarz rozfałdowała się brzydkim uśmiechem, plasnął w dłonie i wstał. Koło zielonego stolika nie było już nikogo. Kapitan nalał sobie kieliszek wina, wypił, potem powtórzył i poszedł do salonu. Spotkawszy po drodze Henryka poklepał go poufnie po ramieniu i rzekł:

— Pan może się boisz, że ci nie oddam. Oddam, oddam i to nie długo.

— Dobrze — rzekł Henryk, aby coś powiedzieć i odszedł szukać żony, chcąc jej się spytać, czy już można poprosić gości do sali jadalnej. Zastał ją w niebieskim pokoju.

— Co to za hałas był? — spytała Kazimira.

— Kapitan zgrał się i zrobił burdę.

— Okropnie się bawimy tego wieczora, ja czuję, że to odchoruję.

Henryk nie miał co na to odpowiedzieć.

— Moja duszko — spytał — czy można gości...

W tej chwili wbiegła do pokoju piastunka przestraszona.



Kościół księży Bernardynów w Przeworsku. (str. 385.)

— Pan starszy prosi pana.

— Co się stało, czy zachorował?

— Nie.

— Cóż się więc stało?

— Henryk — zaharczał głos z drugiego pokoju.

Henryk pobiegł tam. Kazimira niespokojna zbliżyła się ku drzwiom. Paralityk był mocno wzruszony, widać to było po ruchliwem rzucaniu oczów.

— On tu był — wybełkotał patrząc przestraszonym wzrokiem na zięcia.

— Kto?

— Floryan.

— Przewidzenie. Umarli nie wstają już więcej.

— I ja go widziałam, proszę pana — odezwała się piastunka.

— Kogo?

— Nu, tego co tu był przed chwilą. Nie wiem czy to był duch czy człowiek; ale prędzej na ducha wyglądał, bo był blady jak nieboszczyk i zapadłe miał oczy. Wszedł temi drzwiami, rozglądał się po pokoju, jakby kogoś szukał, i wyszedł tamtędy na ogród.

— Może to był złodziej.

— Floryan — powtórzył ochrypłym głosem paralityk.

— Przekonamy się, poszlę ludzi do ogrodu — rzekł dla uspokojenia starca i wrócił do pokoju do żony, która za jego powrotem cofnęła się od drzwi.

— Cóż się stało?

— Nic, nic, jakieś przewidzenie, stary musiał się zdrzemnąć i śnić.

Tak sobie tę wizyę tłumaczył Henryk, ale był tem nieco zakłopotany, zaniepokojony.

— Czy już można prosić gości do kolacyi? — spytał żony.

— Już gotowa. Ja za chwilę przyjdę.

Po odejściu męża Kazimira potarła ręką zamyślone czoło i rzekła do siebie:

— Więc to nie było złudzenie moich oczu, i inni go widzieli. Duch zaniepokojony przez nas w grobie wstał i przyszedł nam czynić wyrzuty. Magdusia mówiła, że poszedł w stronę ogrodu.

Otuliła się szalem i wyszła. W ogrodzie było spokojnie, cicho, ciemno; księżyc już się schował; jedynie z okien jasno oświeconych padały długie pasy światła na gazon i ścieżki. Kazimira zauważała, że ten sam cień, który widziała przedtem, przesunął się przez jeden taki pas i usuwał się przed nią w stronę brzozowej altany.

— Czegoż się mam bać jego ducha? — mówiła do siebie trwożna niewiasta, dodając sobie odwagi — on był taki dobry, on mi przebaczy.

I z tą myślą postąpiła ku brzozowej altanie. Naraz uczuła się schwyconą przez jakieś silne ręce, brzydki zapach wina uczuła tuż koło swojej twarzy; usiłowała wydostać się z uścisku, który ją coraz silniej obejmował.

— Kto tu? — spytała groźnie, mocując się z nadludzkiem wysileniem.

— To ty sama, prekrasna? Cicho! ja kapitan — zawołał napastnik ucieszony, poznawszy Henrykowę.

— Puść mnie, potworze, łotrze!

— Nikt nie usłyszy nas tutaj.

— Ratunku! — zawołała Kazimira rozpacznie mdlejącym głosem.

W tej chwili z cienia świerków otaczających altanę wyskoczył jakiś człowiek, rzucił się między napastnika i ofiarę i żylastą ręką odepchnął kapitana tak silnie, że ten aż stęknął uderzywszy o drzewo. Potem człowiek ów wziął na ramię omdlałą Kazimirę i zaniósł ku pałacowi. Ruch i chłód otrzeźwiły omdlałą, spojrzała na niosącego ją człowieka i — po raz drugi zemdlała. W pół godziny potem Henryk znalazł żonę w niebieskim pokoju leżącą na kanapie z zamkniętemi oczyma. Gdy ją otrzeźwiono, spojrzała nieprzytomnie w około i spytała cichym głosem:

— Gdzie on?

III.

Tajemnice klasztoru.

Człowiek ów, który takiego niepokoju stał się powodem we dworze, złożywszy na kanapie omdlałą kobiétę, wyskoczył oknem, rzucił się w gęstwinę ogrodu ku alei lipowej, i ztamtąd przeskoczywszy sztachety, przemykał się chyłkiem ku dolinie. W wiklinie nad rzeką zatrzymał się czas jakiś nadsłuchując, czy go kto nie goni. Widział w w ogrodzie na wzgórzu ludzi chodzących ze światłem; żadne jednak światło nie skierowało się ku miejscu, przez które uciekł ztamtąd. Uspokojony poszedł ścieżką wzdłuż rzeki i skierował się ku lasowi. Tutaj wychodząc na gościniec natrafił na węglarzy ciągnących z wózkami na targ, chciał im zejść z drogi i schować się w las, ale to było nie podobne bez obudzenia podejrzeń; poszedł więc prosto, przywitał ich słowem bożem i minął. W pół godziny potem dostał się między stawy. Znał widać dobrze miejscowość, bo wnet odszukał ścieżkę, prowadzącą przez groblę między stawami, i zasłonięty wysokiem sitowiem podsunął się pod mur klasztoru. Szło mu widać o to, aby mógł niespostrzeżony dostać się do wnętrza, bo ominął bramę, kościoł, i doszedłszy do ogrodu, począł się drapać w górę po chropowatym murze i skoczył w ogród. Czynił to wszystko z dziwną zręcznością, posługując się tylko jedną ręką; tam gdzie miała być druga ręka, wisiał pusty rękaw, w którym kawał ramienia poruszał się. Tym odłamkiem ręki człowiek ów pomagał sobie przy spinaniu się na mur. Stanąwszy w ogrodzie patrzał z zakrzaka, czy kogo nie ma w bliskości, potem spojrzał po oknach. W jednem oknie świeciło się jeszcze, podsunął się więc tam i namyślał się,

jak zajrzeć do wnętrza, gdyż okno było na piętrze. Nie pozostawało nic innego, jak wyleźć na pobliską jabłoń i ztamtąd zrekognoskować mieszkańca celki; i rzeczywiście chciał tak zrobić, gdy zbliżywszy się do jabłoni, namacał drabinkę opartą o nią. Spuścił ją na ziemię, pociągnął za sobą pod mur i cichuteńko przystawił do okna. Za nie długo cień jego zarysował się na szybach okna, pochylił się we framugę i zajrzał do wnętrza. Przy stoliku siedział ksiądz gwardyan bez habita, w bluzie, i z zajęciem wielkiem czyścił broń rozebraną na kawałki. Kiedy te kawałki złożył potem w jedną całość, twarz jego się ożywiła, chwycił strzelbę z radością dziecinną prawie, zrobił kilka ruchów żołnierskich, wreszcie przyłożył strzelbę do ramienia i do twarzy, jakby chciał strzelać, i zmierzył w okno. Naraz pobladł, ujrzawszy na ciemnych szybach bladą twarz człowieka.

— Wszelki duch — zawołał upuszczając strzelbę z bezwładnych rąk.

Zjawisko wyciągnęło ku niemu rękę.

— Otwórz! — zawołało.

Ksiądz machinalnie był posłuszny, otworzył okno i cofnął się.

— Jestem Floryan, nie poznajesz mnie księże gwardyanie.

— Floryan zginął.

— Żyje. Opowiem ci tajemnicę zmartwychwstania mego, ale przedewszystkiem powiedz, czy masz dla mnie bezpieczną kryjówkę. Szukają mnie, za kilka godzin może padną na ślad mój, musiałbym więc uciekać dalej, jeżeli tu nie jestem bezpieczny.

— Dam ci schronienie, w którem cię sam diabeł nie odnajdzie. Wejdź.

Floryan wskoczył przez okno, odepchnął drabinę, która z szelestem upadła na drzewa i rzucił się w objęcia ojca gwardyana.

— Dziecko, więc ty żyjesz, a ja modliłem się za spokój twej duszy — mówił ksiądz rozrzewniony tuląc go do siebie — zkąd wracasz? gdzie byłeś?

— Wracam teraz ze dworu; nie mogłem poznać, tak się wszystko zmieniło tam; myślałem że inni ludzie kupili tę wieś, gdy w tem spotkałem ją. Nie wiesz ojcze, czy dziś jej wesele? Trafiłem na bankiet jakiś.

— Tak, ale to nie wesele.

— Nie — zawołał Floryan z radością, a blada twarz jego okryła się rumieńcem — więc wolna?

— Jakto nie wiesz, że od półtora roku jest żoną Henryka?

— Henryka żoną — powtórzył z ciężkiem westchnieniem i usiadł bezsilny, złamany na stołku; ksiądz patrzał z współczuciem na boleść jego.

— I czemuż się dziwię, wszak ja umarłem dla nich. Ale tak prędko zapomnieć i bankietować prawie w rocznicę mego zgonu, to się nie godziło. A ja z takiem utęsknieniem szedłem do niej, narażałem się na tyle niebezpieczeństw, byle się przekraść w te strony i w dzień jej imienin (bo dziś je obchodzi) stanąć przed nią, jeżeli nie jak kochanek, to jak przyjaciel. Nie miałem wielkiej nadziei zastania jej wolną, ale nie myślałem, że ją zastanę rozbawioną, roztańczoną.

— Dusza jej nie ma udziału w tej zabawie. Przedwczoraj zakupiła u nas mszę za umarłych, widziałem sam, jak modląc się płakała.

— Dla uspokojenia sumienia, aby jej potem nie przeszkadzało tańczyć — rzekł cierpko Floryan blady.

— I karbowy ze dworu przyniósł także na mszę za twoję duszę.

— Poczciwy Maciej, obwinia się pewnie, że stał się przyczyną mej śmierci. Słyszałem jak go katowano, by wymódz na nim wyznanie; wiedziałem że nie jestem pewnym w mojem ukryciu, odłupałem więc pałaszem deskę i uciekłem wprzód, zanim Moskale otoczyli spichlerz i podpalili go wystraszając mnie z ukrycia.

— I czemuż potem nie dałeś znać o sobie, że żyjesz? Możeby inaczej poszło wiele rzeczy.

— Najprzód nie mogłem; oddział, do którego się dostałem, był w ciągłym marszu. Moskale ścigali nas i obsaczali, a potem był to rodzaj doświadczenia z mej strony, chciałem wypróbować miłość Kazimiry, w którą wątpić nieraz musiałem. Była nawet chwila, gdzie zmęczony, rozgorączkowany jej dwuznacznem postępowaniem zerwałem nasz stosunek i przestałem bywać. Wolałem bolesną pewność niż męki zazdrości, która mnie trawiła. Ale jeden list jej wystarczył, bym wrócił napowrót; rzucałem się jej do nóg, prosząc o przebaczenie. Wtedy ona wyprostowała się dumnie, i śmiejąc się rzekła: To dosyć dla mnie; chciałam tylko pana widzieć u nóg moich, bo chodziły wieści po okolicy, żeś mnie porzucił, więc teraz nie ty mnie, ale ja ciebie; to moja zemsta, teraz możesz pan odejść.—Zerwałem się nieprzytomny, rozszalały, zrozpaczony, nie wiedząc czy przeklinać czy się śmiać; szczęściem w alei zawarczały bębny. „Moskale idą!“ wołano w przestrachu w sieni — błogosławiłem tę chwilę, nigdy bardziej nie pragnąłem umrzeć, chwyciłem rewolwer i chciałem lecieć na oślep. Ale ona zastąpiła mi drogę i prosiła: Nie chodź. Odtrąciłem ją ze wzgardą i chciałem biedz znowu. Wtedy ona na klęczki rzuciła się przedemną, założyła palec na palec i przysięgając mówiła: Na Chrystusa klnę się, że ciebie jednego kocham; ocal się, twoje życie do mnie należy. Głos jej był tak drżący, błagalny, oczy łez pełne, że nie mogłem nie wierzyć; pocałowałem ją w czoło i wybiegłem do pokoju prowadzącego na ogród, chcąc się ratować ucieczką, już było za pożno. Moskale otoczyli dom; nie uważałem na to, rzucałem się na bagnety, rewolwerem utorowałem sobie drogę i uciekłem, bo wszakże ona kazała

się ratować. I żyję, żyję po to, aby widzieć przysięgę złamaną; ale nie mówmy o tem więcej — *requiescat.*

— I gdzież ukrywałeś się dotąd?

— Najprzód w oddziałach, dopóki były, po rozbiciu jednego przechodziłem do drugiego; potem dostałem się do niewoli, z której wkrótce uciekłem do oddziału Chmielińskiego, Bosaka, aż nie znalazłem wreszcie żadnego, i powiedziano mi, że powstanie upadło. Śmierć ojca i matki nie tak mnie przeraziła, jak to straszne słowo: nie ma już powstania. Nie mogłem uwierzyć, nie chciałem wierzyć. Ja co tylko żyłem tą myślą, com dla niej poświęcił spokój rodzinny, życie, majątek i kochankę nawet, miałem wierzyć, żem to wszystko poświęcił dla niczego, że wiara moja była złudzeniem, to było nadto. Zaprotestowałem; tych co mi to mówili, nazwałem zdrajcami, i poszedłem w lasy szukać obozów naszych, a w nich zbawienia Polski, choćby okruszyny Polski. I znalazłem kilku takich, jak ja zbłąkanych, szalonych; związaliśmy się w mały oddziałek i mówiliśmy sobie: powstanie trwa. Naród wyrzekł się nas, jedni nazwali rozpacz naszą szaleństwem, drudzy zdradą i sprawką moskiewską, inni łotrostwem; zamykano przed nami drzwi domów, denuncjowano oddziałom moskiewskim, mimo to zdołaliśmy się jako tako utrzymać do zimy. Groźbą, prośbą żywiliśmy się, niepokoiliśmy oddziały moskiewskie zjawiając się niespodziewanie, przerzucając się w różne okolice i znowu znikając, tak że Moskwa przestraszające miała wyobrażenie o naszej liczbie, podczas gdy nas było ledwo kilkunastu. Rozbici, rozprószeni, prędko zbieraliśmy się znowu i jak piorun spadaliśmy z nienacka. Ale w końcu ta ciągła włóczęga, głód, który nam się często czuć dawał, bezsenne nocy, niewygody znużyły nas. Kilku się rozchorowało, dwóch pogrzebaliśmy w lesie. Nadeszła wreszcie zima, mróz wraz z wrogiem niszczył nas i prześladował, śnieg i ludzie zdradzali nasz pochód i nasze kryjówki, aż nakoniec obsaczono nas w jednej stodole. Nie wiem, czy moi towarzysze zdołali się ocalić, ja ze strzaskaną dwoma kulami ręką schroniłem się do domu jakiegoś gajowego. Byłto dom stawiany umyślnie przez dziedzica podczas powstania, miał podwójną ścianę, i tam ukrywałem się przez sześć miesięcy, żyjąc na łasce tego poczciwca. Chirurg sprowadzony potajemnie z miasteczka odciął mi rękę, opatrzył rany; chorowałem potem ciężko, leżąc wśród tych drewnianych ścian zamknięty jak w więzieniu. Powoli wróciło zdrowie i siły, czekałem tylko sposobnej chwili, by się wydostać za granicę. Gdy w tem dziecko gajowego wygadało się niebacznie we wsi o mojem schowaniu, w nieświadomości zdradziło mnie i ojca. Na czas jednak zdołałem ujść przed policyą: co się z tamtym biedakiem stało, nie wiem. Nocami przekradałem się w inne strony, bezpieczeństwo własne nakazywało mi uciekać ku granicy; ale nie mogłem przemódz na sobie, by porzucić kraj i niewidzieć jej, miałem nawet, przyznam się, trochę nadziei.

Tu przerwał znowu nie chcąc wejść na przedmiot, który mu stare rany otwierał i rozdrażniał go.

— Czy znasz ojcze Henryka? — spytał po chwili.

— Bardzo mało.

— Zanim opuszczę kraj, a opuścić muszę niezwłocznie, bo prześladowcy trafili na mój trop, chciałbym z nim załatwić jedną sprawę.

— Pojedynek pewnie. Was nic nie nauczy. Czyż nie dość Moskwa nas tępi, mamyż jeszczę między sobą się zabijać?

— Mylisz się ojcze. Tę sprawę dałem za wygraną, mam do nich obojga żal, ale mścić się nie myślę, byłoby to niegodnie. Mam jednak inną sprawę do załatwienia z Henrykiem, sprawę nie moję. Czy będę się mógł z nim widzieć tutaj?

— Jeżeli mu ufasz?

— Ufałem mu dawniej, dziś trudno, ale to nic nie znaczy. Zanimby mi mógł szkodzić będę już daleko. Idzie tylko o to, jakby go uprzedzić; trzeba będzie czekać sposobnej chwili, dlatego kilka dni zabawić tu muszę.

— Czy cię nikt nie widział idącego w tę stronę?

— Węglarze jadący lasem.

— To nic, nie znajdą cię tutaj tak łatwo.

— Więc prowadź mnie ojcze do tej kryjówki, lada chwila mogą tu nadejść. Kapitan mnie widział, ona poznała, wyłamane sztachety zdradziły pewnie kierunek mojej ucieczki. A ja jestem znużony mocno, głowa mi cięży, potrzebuję odpocząć.

— Chodźmy więc, bo już dzień się robi. Zaprowadzę cię razem z nią.

— Jakto?

— Ze strzelbą moją, tam i ona ma kryjówkę bezpieczną. Nie mogłem się z nią rozstać — mówił biorąc strzelbę w rękę — to moja najdroższa pamiątka, z nią przebyłem całe powstanie, to też bawię się z nią i pieszczę nieraz jak z dzieckiem; rozmawiam z nią, czy wyjdziemy jeszcze kiedy razem w lasy, i wtedy mi jakoś otucha wstępuje w piersi. No, chodźmy.

Wziął strzelbę i świecę i poprowadził Floryana po cichu ostrożnie przez długi korytarz, zeszedł z nim ze schodów i wyszli na mały cmentarzyk otaczający kościoł. Był to cmentarzyk, na którym niegdyś chowano mnichów i rodzinę fundatorów kościoła; dziś zaniedbany, zarosły był chwastem i zielskami, które zakryły całkiem zwietrzałe marmurowe nagrobki i wytarte napisy. Kto jednak baczniej śledził to smutne pustkowie, mógł zauważać, że przez trawę i zielska była wydeptana niewyraźna ścieżka, która prowadziła do starej kostnicy. Tam ksiądz wprowadził młodego człowieka. Stare spróchniałe kości leżały wielką kupą na zbutwiałej podłodze brudne i zakurzone. Na nagich ścianach wisiało kilka obrazów, między innemi jeden z wyobrażeniem Zmartwychwstania Pańskiego, pod którem był

napis: *Resurexit sicut dixit*, a niżej poźniejszą ręką dopisane:

Każda z kości ciało włoży,
I powstanie na sąd boży.

Ten obraz ksiądz podważył i pokazał się czarny otwór ziejący wilgotnym chłodem.

— To twoje mieszkanie — rzekł do Floryana, który z rodzajem odrazy i obawy patrzał w ciemną otchłań.— Nikt o niem nie wie w klasztorze, ja sam przypadkiem tylko wyczytałem wzmiankę o niem w starych szpargałach, które wyciągnąłem z kurzu biblioteki naszej. W tę kryjówkę w czasach zaburzeń chowano skarby kościelne; dotyka ona do kaplicy, przez otwór w dachu, zakryty figurą św. Bernarda, dochodzi tam światło i powietrze. Wejdź, weź tę świecę, strzelbę i pożywienie i zachowaj się spokojnie, wieczorem przyjdę znowu do ciebie. A nie zapędzaj się daleko, bo pieczara ma lochy niebezpieczne, których ja sam nie znam wcale.— To rzekłszy zatrzasnął obraz i wrócił do siebie na górę; nie spał jednak wiele, co chwila bowiem budził się spodziewając się rewizyi. Nie zjawiała się. Dopiero około południa ukazał się wychodzący z lasu oddział wojska, kilkunastu żandarmów, trzech starszych, a przed nimi węglarz osmolony. Gwardyan patrzał na zbliżających się ze spokojem, pewny był bowiem, że łatwiej klasztor zburzyć, niż odszukać ukrytego. Nieruszał się z miejsca, wziął brewiarz i czekał na nich.

Przybyła starszyzna znana nam już dobrze. Był to naczelnik Brinken, Muraszkin i kapitan żandarmów. Gdy stanęli przed furtą klasztorną, kapitan spytał węglarza:

— Więc to tu?

— Tak, tutaj; szedłem za nim do samego klasztoru, bo mi się jakoś podejrzanym wydawał, po tamtym murze wspinał się i znikł mi z oczów.

— Więc się tu chowa. Nic dziwnego, te wilcze nory mnichów były zawsze schronieniem łotrów. Przy jednym więc ogniu dwie pieczenie usmarzymy.

— Dzwonić! — rzekł naczelnik do żandarma.

W furcie pojawił się siwy, suchy zakonnik z wystraszoną twarzą na widok wojska.

— Gdzie gwardyan? — spytał Brinken.

— U siebie na górze — odrzekł zakonnik trzęsącym głosem.

— Niech tu przyjdzie natychmiast.

— A wy tymczasem przetrząśnijcie kościoł i klasztor; kto go dostawi żywego, otrzyma chrest i pieniądze — odezwał się kapitan do żandarmów. Żandarmi rozeszli się po korytarzach, żołnierze obsadzili wejścia. Niezadługo pojawił się gwardyan i poprosił starszych do refektarza. (C. d. n.)

OKRUSZYNY DUCHA.

III.

Szedłem smętny... Ot dom boży,
Słychać święty spiew kapłana;
Wstąpię — niechaj serce złoży
Swoją troskę u stóp Pana.

Więc otrząsłem się przed progiem
Z waśni ducha, z pyłów ziemi,
By rozmowy mojej z Bogiem
Nie kłóciły męty swemi.

Wszedłem — mnogi lud w pokorze
U stóp krzyża w proch się ściele;
Lecz niestety! dobry Boże,
Jakże i tu chwastu wiele!

Ot ów bogacz pełen dumy,
Jakże harda jego skrucha...
Zda się mówić: „Milczcie tłumy,
Bo w tej chwili mnie Bóg słucha.“

A tam celnik niebu kłamie;
Tam się gną Faryzeusze;
Ten chce skryć szalbierza znamię,
Ten przekupnia brudną duszę.

Tylko nędza Pana chwali,
Tylko cicha łza sieroty;
I tych niebo się użali,
Szląc pociechy promyk złoty.

Tylko ten się modli szczerze,
Kto wziął z życia chrzest boleści,
I ten z niebem ma przymierze,
Kto swój byt ofiarą wieści.

Fr. Waligórski.

Kościół ks. Bernardynów w Przeworsku.

Świątynia ta jest jednym z najstarszych i najpiękniejszych pomników architektonicznych w naszym kraju. Założył ją w r. 1394 Jan Tarnowski, wojewoda sandomirski, osadzając przy niej zakon Bożogrobców, a ukończył budowę Rafał z Tarnowa, wnuk Jana w r. 1473. Po zniesieniu zakonu Bożogrobców już za rządów austryackich, objęli ten kościół OO. Bernardyni. Jest on zbudowany w stylu gotyckim z przymieszką stylu odrodzenia, i był w XVII wieku obwarowany murem z zębicami. Wieża czworoboczna stanowi wchód, a na niej widne są ślady stromego dachu. Nawa główna i presbyteryum są równej wysokości; boczne nawy są niższe, a sklepienie gwieździste opiera się na sześciu kolumnach. Drewniane kapitele i ozdoby nadają świątyni charakter rokoko, jak również i wewnętrzne ozdoby. Znajduje się w niej kilka celniejszych nagrobkowych pomników z XV wieku, jako to monumenta Rafała Tarnowskiego, kasztelana wojnickiego, Anny z Szamotuł Tarnowskiej, Michała Jazłowieckiego i inne. Pod kaplicą są groby Lubomirskich. W presbyteryum znajduje się ciekawy obraz N. P. Maryi z XV wieku, przemalowany w r. 1773. Godną jest uwagi także chrzcielnica spiżowa w kształcie kielicha z r. 1400. Rysunek tej świątyni jest ołówka Gryglewskiego.

KRONIKA.

Z kraju.

Cieszyć się czy smucić, spodziewać czy lękać o przyszłość: to pytanie, które sobie każdy w głębi ducha zadawać musi, wnikając w objawy życia naszego teraźniejszego; są one tak różne, tak pocieszające zarazem i trwożące, tyle w nich godnych pożałowania rzeczy i zasługujących na współczucie, iż z danych tych umysł nie łatwo może wniosek wyciągnąć. Żyjemy nieco gorączkowo, ale życie objawia się i odradza wszędzie. Należy tylko nieco z dali patrzeć i z chłodnego stanowiska sądzić, co nas otacza. Jeźli nie wszystko jest zupełnie dobrem, wszystko niemal znaczenia pełnem. Same nawet często przykre a indywidualnie bolesne walki dziennikarskie, zapasy ludzi przekonań różnych, owe niby Stańczykowskie porywy i konserwatywne oddziaływania nie są bez pożytku. Wywierają one skutek cale przeciwny niż zamierzały, a rozbudzają do myślenia i sądzenia.

Cechą chwili zajadła polemika, wkradająca się tam, gdzieby się bez niej obeszło; choć inaczej się nie dorabia żaden naród swej przyszłości. Gdyby jednej z tych sił, które się nam dziś może niepotrzebnemi wydają, zabrakło... usnęlibyśmy... A zatem... poklaskujmy choć smagani i drażnieni.

Galicya dostarczyła nam broszur i okolicznościowych pisemek podostatkiem. Kazimierz W. cudownie zmartwychpowstały, unia lubelska odżywiona, mnóstwo kwestyi lokalnych treści do nich podały. Każda z tych książeczek, które nam przychodzą jako życia zwiastuny, śmieje się do nas młodej, porannej rosy kropelką, błyszczy w niej słońce dnia nowego. Cierpimy, kłócim się, ale żyjemy. Niestety! to co powiedział w swej książeczce o Prusakach p. Reymond, że wkrótce w Europie trudniej będzie o czytelnika, niż o pisarza, i u nas prawdą jest smutną. Gdybyśmy czytelników mieli, gdyby życie objawiające się w gronie zajętych literaturą czynnie i produkujących rozeszło się w szersze koła i stworzyć mogło konsumentów!!

W innej chwili naprzykład, gdyby taki zbiór poezyi jak wydane we Lwowie El...y, ukazał się, jakieżby obudził współczucie, ile krytyk, rozbiorów i oznak uznania! Dziś oprócz wzmianki obszerniejszej w „Kraju"... o nowym poecie głucho i cicho. A jest to bez najmniejszej wątpliwości poeta z bożej łaski a nie z mozolnego trudu i własnej woli; o takich zaś nie łatwo zaprawdę, i od zgasłych ostatnich mistrzów, legitime nam panujących, jeszcześmy podobnego nie mieli. Ma wszystkie znaki swego posłannictwa, ma tę przecudną formę, której się nie nabywa, którą Bóg rzuca do kolebki wieszczowi w posagu; ma tę złocistą szatę, którą tkają w niebie aniołowie dla wybranych; ma to uczucie i odczucie świata, które się przynosi zza świata. Rozbiór tych poezyi dla nas na nieszczęście w granicach szczupłych kroniczki jest niemożliwym; dość o nich powiedzieć, że są prześliczne, że barwami i muzyką słowa dorównywają najpiękniejszym, jakie ma bogata literatura nasza. Sen grobów Dantejski, który poczyna zbiór El...y, jest najwspanialszym i szerokiego pokroju; zarzucić mu tylko można pewną mglistość linii głównych, dobrowolnie starty obrysów kontur, który go czyni niekiedy mniej jasnym, niżby być powinien; ale co za bogatwo kolorytu! jaki język, jaka szata myśli... niedorównana! W zbiorze mniejszych poezyi są arcydzieła, wszystko nacechowane natchnieniem tak rodzimie artystycznie pięknym, iż jeden tylko wyraz wrażenie całości odmalować może — prześliczne!

Obok tych poezyi szczerozłotych, wszystkie inne wydać się nam musiały talmigoldem i tombakiem; wolimy więc o nich nie wspominać na teraz, aby od tego sąsiedztwa nazbyt nie ucierpiały.

Wykreślamy też umyślnie ze spisu nowości liczne polityczne broszury, świadczące o trosce powszedniej... wolelibyśmy przynieść czytelnikom coś z artystycznego świata. Tu najważniejszem zjawiskiem jest obraz Matejki Unii Lubelskiej, wystawiony w tej chwili w Krakowie i ściągający tłumy ciekawych tą siłą, która dana jest prawdziwemu talentowi i natchnieniu rozbudzania nawet najobojętniejszych. Widzieliśmy na wystawie paryzkiej niezrozumiały dla tłumów różnorodnych sejm tegoż artysty, również nęcący tajemniczem swem znaczeniem i energią wyrazu, otoczony ciekawymi, zdziwionymi, osłupiałymi widzami.

Unia lubelska, znana nam tylko z opisów tych, co się do pracowni malarza dostać mieli szczęście, będzie nietylko arcydziełem uczucia i kunsztu, ale jest świadectwem zacnej duszy, która bolała nad tem, że nie została zrozumianą, że w jej bolu widziano brak miłości dla świetnej przeszłości Polski. Nie wątpimy o tryumfie jenialnego malarza i z serca mu go życzymy.

Po Grottgerze oto już drugiego daje nam Galicya mistrza, gdy... na wypłatę długu od Poznania i Prus czekamy jeszcze. Nie możemy się jednak uskarzać na prowincyę, która dała Marcinkowskiego, Potworowskiego i Cegielskiego. Sama Opatrzność urządziła ten podział pracy... W chwili gdy dziełem p. W. Czaplickiego o Litwie i wspomnieniem Unii Lubelskiej kraj ten bratni z nową siłą się nam uprzytomnia, wynurzmy żal, iż dotąd literatura polska nie ma przekładu najcelniejszego dzieła litewskiego — Donalejtysa (Donalitius'a) poematu. Uprzedzili nas Niemcy w tem jak w wielu innych pracach, i oto ze wstydem bierzemy w rękę wydanie przekładu wraz z oryginałem wydanego przez Nesselmann'a. Znany pod pseudonymem Chłopa Marjampolskiego M. Akielewicz przygotował był tłumaczenie prozy tego wiejskiego obrazu litewskiego życia od lat kilku, nie znalazło ono wydawcy chętnego, a o samym poecie nawet iluż o nas wie? Kto go zna? Wydanie Nesselmann'a z tekstem oryginalnym i glossarjum znakomitym jest darem dla szczupłej dotąd literatury litewskiej. Oprócz tego drukuje się tłumaczenie Lamennais'ego „Les paroles d'un croyant“ w języku litewskim. Do pożądanych nabytków przyrzeczonych nam należy illustrowany przewodnik do Tatrów, zapowiedziany przez Walerego Eljasza. Znając talent artysty i jego miłość dla górskich okolic, których piękności wszystkie zbadał w mnogich wędrówkach, życzemy aby co prędzej odsłonił nam ten nasz świat alpejski... równie mało znany jak Donalejtysa pieśni. Ileż to jeszcze podobnych skarbów własnych mamy do zdobycia!

Posiawszy złotem pielgrzymki swej drogę nasi chorzy i zdrowi wędrowcy... gnani słotą i chłodem, ze stacyi letnich zwolna wracają do domu. Zewsząd dochodzą żale na szkaradny rok, który niedozwolił ani się zabawić ani podkurować. Zmokli, zziębli, smutni, odarci ze złudzeń i pieniędzy, ciągną panowie nasi do penatów swych i powszedniego chleba... Jeżeli jesień nie nagrodzi za lato, będzie r. 1869 pamiętny zaziębieniami i rozczarowaniami.

Do zapowiedzianych nowości doliczmy niektóre godne polecenia. Żupański wydaje Rok Myśliwca Wincentego Pola z rysunkami J. Kossaka, (który bawi w Monachium)—Odczyty Cybulskiego i wyborną historyę powszechną Berwińskiego. Z pism peryodycznych jako nowość nadeszłą w tej chwili wspomniemy Rzeczpospolitę polską, dalszy ciąg od r. 1863 zamilkłego demokraty polskiego. Rzeczpospolita drukuje się w Genewie, redaktorem jest p. L. Bulewski — Niestety! jest to rzeczpospolita federacyjna, demokratyczno-socyalna, która długo zapewne pracować będzie musiała, nim na swą wiarę nawróci i sfederuje z sobą kraj cały. Nadspodziewanem cale zjawiskiem jest Ogniwo, którego trzeci numer wyszedł w Czerniowcach. Trudno nam wyrazić, z jakiem uczuciem powitaliśmy ten głos z kresów nas dochodzący a świadczący o życiu. Nie jest że to cud prawdziwy? Zgasła Reforma Sanocka, zjawia się w Czerniowcach Ogniwo. Symptomy to rozbudzającego się życia prowincyi i decentralizacyi umysłowej, które oby tylko trwać i szczęśliwie rozwijać się mogły. Ogniwo jest stosownie do potrzeby miejscowej i zadania bardzo starannie i dobrze redagowanem... Wychodzi dwa razy na miesiąc. Przeczytajcie jak było przed stu laty w Czerniowcach, i prośmy pana Boga, aby za sto lat... było nam lepiej niż dzisiaj.

J. I. Kraszewski.

Ze świata.

(Do historyi włosów) podaje angielski tygodnik Dickensa: „All the Jear Round“ kilka ciekawych szczegółów. Starożytni Brytańczycy i Gallowie dozwalali swobodnie rosnąć swoim włosom, tak że nieraz sięgały aż do bioder. Rzymianie, którzy później podbili kraje obudwu tych plemion, gorszyli się tem zapuszczaniem włosów i kazali strzydz swoich nowych poddanych jak owce. Z początkiem piątego wieku założył Faramond swoje królestwo w prowincyi, która odtąd nosi nazwę Francyi. Gallowie popadli w najsromotniejszą niewolę, i strzyżono im głowy aż do skóry. Odtąd przyjęto w całej Europie za regułę, że długie włosy były wyłącznym apanażem panujących i szlachty. Nietylko poddanym i wazalom, ale także wolnym obywatelom i włościanom nie dozwalano nosić długich włosów. Poddanych szlachcica strzyżono nawet w piątym, szóstym i siódmym wieku, i od tego czasu datuje się zwyczaj zdejmowania czapki przy powitaniu. Odkrycie głowy znaczyło tyle co: „Patrz pan, jestem twoim sługą, nie mam włosów.“ Dziś nie ma już nic upokarzającego w tym zwyczaju, bo Bogu dzięki nikt nas nie strzyże, ale że jest bardzo niedogodnym, to każdy przyzna.

(Nowy rodzaj srebra). Za granicą zaczynają się pojawiać wyroby z nowej imitacyi srebra, zwanego Minargent. Spiż ten tak pod względem blasku, trwałości jak i koloru ma być bardzo zbliżony do srebra, otrzymuje się zaś w ten sposób: W tyglu giserskim topi się 100 części miedzi, 70 niklu i 5 wolframu; masa płynna, wlana do wody, nabiera ziarnistości; potem topi się ją powtórnie z jedną częścią glinu czyli aluminium, dodawszy poprzednio półtora procentu topnika, złożonego z równych części boraksu i chlorku wapna, i wysoką temperaturę potrzeba utrzymywać tak długo, dopóki masa nie stanie się zupełnie jednostajną. Mieszanina ta jednakże jest zanadto skomplikowana, a tem samem dość droga.

(Handel niewolnikami) na wschodniem wybrzeżu Afryki odbywa się ciągle jeszcze na wielką skalę pomimo najusilniejszych starań Anglii i Francyi, ażeby go przytłumić. Wyspa Zanzibar jest głównym składem tego nikczemnego handlu, który ściga nieszczęśliwych krajowców aż nad brzegami jeziora Nyansa, aby ich potem przewozić na terytoryum Imana Maskatu. Konzul angielski w Zanzibarze, p. Churchill, podaje następujące ciekawe szczegóły o tym niecnym handlu:

„Główną targowicą wschodniego brzegu Afryki na terytoryum sułtana Zanzibaru jest Kilwa. Około 30.000 niewolników sprowadzają tam co roku z okolic blizkich jeziora Nyansa. Ażeby przywieźć taką liczbę, trzeba schwytać najmniej drugie tyle; a żaden opis nie zdoła dać pojęcia o męczarniach, jakie

muszą znosić niewolnicy podczas podróży i na statkach arabskich. Na miejsce przybywają literalnie w postaci szkieletów. Polujący na te nieszczęśliwe istoty zwykle łańcuchami je krępują, aby nie dopuścić ucieczki podczas długiej podróży z głębi kraju, a po przybyciu na miejsce zwykle golą im połowę głowy dla łatwiejszego poznania. W Kilwie sprzedawani bywają niewolnicy handlarzom z Zanzibaru, z Pesuley, z Mondi-Bassa i Lemo, a potem transportują ich do Zanzibaru, albo do portów zatoki perskiej lub też do Madagaskaru.

Okolica wyludniona nad jeziorem Nyansa ma obszar stumilowy, posiada żyźną ziemię, lasy i wody w obfitości. Ludność jej zapewnie niedawno jeszcze była dość liczna. Zagony, na których krajowcy siali zboże, są wszędzie jeszcze widoczne, ale spustoszenie jest straszne. Handlarze arabscy radzą sobie w następny sposób: Przybywają do Kilwy z perkalikami i różnemi towarami i oświadczają, że im potrzeba niewolników. Natychmiast organizują się bandy rabusiów, które dzięki palnej broni, na te wyprawy używanej, chwytają bez trudności spokojnych i bezbronnych mieszkańców. Biedacy, którym się uda umknąć przed taką obławą, najczęściej wymierają z głodu i i nędzy po zrabowaniu i spaleniu wiosek, w których mieszkali. Tych zaś, którzy iść nie chcą, przywiązują obławnicy do drzewa, skazując ich na śmierć męczeńską. Sławny turysta dr. Liwingstone widział nieraz takie trupy silnie do siebie przywiązane, i zapewniano go na miejscu, że Arabowie mszczą się w ten sposób za poniesione straty, jeżeli tylko nieszczęśliwi niewolnicy przez złą wolę lub też w skutek wycieńczenia odmawiają nadal posłuszeństwa...“

To samo dzieje się na brzegach białego Nilu, gdzie handel taki otwarcie na zamówienia z Egiptu się prowadzi, i gdzie niestety nie tylko arabscy handlarze są interesowani w jego utrzymaniu. Jakże nikczemnym staje się człowiek dla zysku!

(J a k s i ę p r z y c h o d z i d o z n a c z e n i a i m a j ą t k u). Niedawno umarł w Londynie sławny bogacz, Lord Taunton, którego ojciec jeszcze był początkowo chudopachołkiem, nim za pomocą jenialnej sztuczki — przez jedną noc, rzecby można — stał się właścicielem kolosalnego majątku. Jestto historya bardzo zajmująca. Piotr Cezar Labouchére, ojciec zmarłego Lorda, służył jako młody, ubogi komisant w biórze sławnej na cały świat, bogatej firmy Baring. Dla ujmującej powierzchowności swojej uzyskał wstęp do rodzinnego kółka swego szefa; a ponieważ był bardzo zdolnym w swoim zawodzie, polecał mu Baring często bardzo ważne poselstwa, do jakich używa się zwykle tylko doświadczonych szefów bióra. Jedno z takich poselstw zawiodło go raz do Amsterdamu, do sławnego bankiera Hope, który polubił wielce młodego człowieka i zapewniał go po załatwieniu sprawy, dla której przybył, że byłoby mu bardzo przyjemnie, gdyby mógł przyczynić się do jego szczęścia.

— Jeźli pan szczerze pragniesz tego — rzekł młody Labouchére — to zrób mnie pan swoim spólnikiem.

Hope zdumiony tą bezczelnością, skarcił młodzieńca surowo.

— A gdybym był zięciem Baringa? — odparł tenże.

— Zięciem Baringa! to inna rzecz; w takim razie przyjąłbym pana z otwartemi rękoma.

— Biorę pana za słowo! — rzekł Labouchére i powrócił do Anglii.

W kilka dni poźniej wprawił w niemałe zadziwienie swojego szefa, prosząc go o rękę jego jedynaczki z zapewnieniem, że ją kocha, i że potrafi zyskać jej wzajemność.

— Młodzieńcze, cenię twoją zdolność i gorliwość w służbie, ale widzę, żeś albo szalony albo coś gorszego jeszcze — rzekł dumny bankier.

Ale Labouchére nie dał się tem odstraszyć.

— A gdybym był spólnikiem firmy Hope w Amsterdamie— zapytał — czy odmówiłbyś mi pan ręki swojej córki?

— To inna rzecz — odparł Baring — jako spólnik Hopego byłbyś dla mnie bardzo miłym zięciem.

— Biorę pana za słowo — rzekł młodzieniec; napisał do Hopego, że mu została przyrzeczoną córka Baringa, złożył Baringowi dowód swojej przyszłej spółki z Hopem, stał się potem rzeczywiście spólnikiem Hopego i zięciem Baringa i — sens moralny niechaj wyciągnie z tego sam każdy ambitny młodzieniec. Także zmarły teraz syn jego, który w r. 1859 pod tytułem br. Tauntona mianowany został członkiem izby wyższej, miał żonę z domu Baring, córkę swojego wuja.

(N i e c o z e s t a t y s t y k i). Podług najnowszych obliczeń statystycznych znajduje się w najpierwszych państwach pierwszorzędnych 5,580.000 ludzi pod bronią, nie licząc wcale drobniejszych krajów.

Francya ma posiadać 1,350.000 żołnierzy; północne Niemcy 1,028.946; południowe Niemcy 200.170; Austrya i Węgry 1,053.000; Rossya 1,467.000; Włochy 480.460; w tych sześciu więc państwach zostaje powyższa liczba na żołdzie wojskowym.

Nie jestto może cyfra całkiem dokładna, ale kilkaset ludzi mniej lub więcej nie stanowi tu żadnej różnicy. Zachodzi jednak pytanie, ile mogłoby tych 5 miljonów zdrowych i młodych ludzi zdziałać, jak dalece przyczynić się do dobrobytu swoich narodów, gdyby ich zostawiono przy cywilnych ich zatrudnieniach?

Na to pytanie niech odpowiedzą ekonomiści; my zaś możemy już teraz śmiało dzielić obywateli państwa na dwie tylko kategorye, na dźwigających karabin, i na płacących podatki; zresztą są tylko kobiéty, dzieci i starce.

(B i e l i z n a k o r o n n a w e F r a n c y i). Z dziennika „Sport-Journal“ dowiadujemy się ciekawych szczegółów o bieliźnie monarchów francuskich. Bielizna koronna miała we Francyi należeć zawsze do rodu, z którego pochodził panujący, i to już od Ludwika XIII. Najwykwintniejszą była ona za Ludwika XIV; następcy jego nie byli już tak wybredni.

W archiwach bielizny koronnej znajdują się jeszcze spisy prześcieradeł całego szeregu monarchów. Cesarz Napoleon I. miał sypiać na prześcieradłach z płótna holenderskiego; Bourbonowie restauracyi mieli prześcieradła batystowe, a Napoleon III. sypia na zwykłem płótnie. Cała francuska bielizna koronna ma składać się teraz z 30.000 sztuk, a za pranie jej wydają rocznie 120.000 franków.

(P r a w d z i w i e p o a n g i e l s k u). Temi czasy umarł w Londynie bogacz, zapisawszy swój znaczny majątek młodej pannie, która go wcale nie znała. Gdy przyszedł do niej komor-

nik, ażeby jej to oznajmić i wezwać ją do objęcia sukcesyi, oświadczyła, że nie znała wcale tego człowieka. Namyśliwszy się jednak, że lepiej przyjąć bogatą spuściznę, kazała się zawieźć do nieboszczyka i poznała w nim oryginała, który przez trzy lata chodził za nią wszędzie i pisywał ody — do jej nosa.

Do testamentu załączony był list do panny B. Nieboszczyk powiada w nim: „Upraszam pannę B., by raczyła przyjąć cały mój majątek jako słaby wyraz uwielbienia, jakie obudzał we mnie zawsze jej piękny nosek."

Takiej prośbie czyż można było odmówić? Zresztą niechaj to będzie nauką dla płci pięknej, ażeby za młodu nie dłubała w nosie, gdyż za jego pomocą można przyjść do majątku.

Z TEKI «CHOCHLIKA».



Żona: Co tam widzisz ciekawego, mój mężu?
Mąż: Jakaś tabliczka — (czyta) „Uprasza się nie palić tytoniu."
Żona: Ach mój drogi, czy nie możnaby zawiesić takiej tablicy w naszym salonie?

SZARADY:

I.

Pierwsze mały przyimek, drugie z trzeciem ziemia,
Trzecie z czwartą dziesiątkę gdy przy sobie miało,
W Rzymie i po za Rzymem, z sztuk nauk jaśniało.
Wszystko naraz jest imię, co wola olbrzymia
Rzuciła z tronu władzy w samotne siedlisko,
Gdy szczytu ziemskich wyżyn stał człowiek ten blisko.

II.

Pierwszem zwykle witasz gości,
Drugie cicho sobie płynie,
Trzecie prawa sobie rości
Zwykle w obiednej godzinie.
Wszystko pracowało wiele,
W swojego mistrza kościele.

Rozwiązanie rebusa z XI. zeszytu:

Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku żwawy,
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.

Znaczenie szarad w XI. zeszycie:

I. Szarada. — II. Kopernik.

Z nowym rocznikiem „STRZECHY" rozpocznie się nowa powieść B. Bolesławity: **Czarna perełka.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO